Nr. 18. Poznań, dnia 5 Maja 1907 r. Rok XI.

Abonament
wynosi kwartalnie:
na poczcie. . . 1,50
z odnoszeniem
do domu . . 1,62
pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi:
Poznań,
ul. Rycerska Nr. 35.
Telefon Nr. 1465.
Ogłoszenia:
od wiersza drobnego
30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Uczcijmy pamięć konstytucyi Trzeciego Maja.

Uczcijmy ten wielki dzień odrodzenia, w którym naród, otrząsnąwszy się z grzechów, wiodących do upadku i zguby, stworzył sobie podstawy nowego życia — dzień reform stanowczych i głębokich, a przecie nie podpisanych krwią i łzami obywateli, nie przypieczętowanych ni mordem, ni grabieżą, ni pożogą, ni zniszczeniem.

Przeciwnie — dzień dobrej woli — radosny dzień zgody, pojednania i miłości.

Rocznica jego stała się słusznie jednem z największych świąt narodowych, bo jakkolwiek i siłom wydało się, że stratowały i wdeptały w ziemię złoty posiew narodowego czynu, plon jednak zeszedł.

I jakkolwiek ciemność złowroga przesłoniła następnie jego blask, wszelako nie zdołała go stłumić i zgasić.

Wielka reforma nie poszła na marne i nie zginęła, a dzięki jej i Polska nie zginęła; gdyż tylko ciało Polski zapadło w niewolę, natomiast odrodziła się dusza narodu i pozostała już odrodzona... a przeto pamięta ona ów dzień; przeto święci ową rocznicę z pokolenia w pokolenie, przeto, choć w niewoli, ucisku i męczeństwie, błogosławi pamięć Trzeciego Maja.

I póki trwać w niej będzie miłość ojczyzny i pragnienie życia, póty go święcić i czcić nie przestanie!

. . . .

A oto zbliża się to wielkie, święto narodowe. Jakże je w dzisiejszych czasach powszechnej rozterki i niepewności jutra uczcić należy?

Wiece, mowy, tłumne pochody, chorągwiane procesye, podobne są do fali, którą chwilowy wicher spiętrza, ale która wygładza się następnie i usypia.

To nie jest dostateczny i nie dość godny sposób uczczenia drogiej rocznicy!

Najgodniejszym i najszlachetniejszym byłby choć cichy, ale serdeczny i doniosły czyn ofiarny.

. . . .

Ponieważ zbrodni potrzeba ciemności, więc przez długie i długie lata trzymano nasz lud jakby w podziemiu z obawy, aby ujrzawszy światło, nie ujrzał zarazem wszelkich popełnionych nad jego ojczyzną niegodziwości; hamowano oświatę, by łatwiej wszczepić nienawiść i by łatwiej powaśniony i ślepy naród przywieść do ostatecznego upadku i zniszczenia.

Pracować nad ludem, oświecać i uczyć, było występkiem, za który potworne prawa groziły karą i zemstą.

Ale przyszła wreszcie chwila, w której ludowi naszemu stało się wolno wyciągnąć ramiona do światła i do nowego życia — więc choć na tym jasnym szlaku zła wola gromadzi jeszcze i spiętrza liczne przeszkody, powszechnego jednak porywu żadna wroga siła nie zdoła już powstrzymać. Lud począł szukać światła i począł pytać, kto mu je dać jest mocen.

A naród w odpowiedzi stworzył Polską Macierz Szkolną. Ona ma troszczyć się o duszę ludu, o jego wiarę, o jego uczucia, o jego moralność, o jego oświatę, i uczynić go zdrowym i silnym fundamentem przyszłości.

A więc, w imię i przez pamięć Trzeciego Maja, w imię tych wspomnień odrodzenia, zgody, pojednania i miłości — pojednajmy się dziś we wspólnej myśli: ofiarnej pomocy dla naszego ludu — i przyczyńmy mu tego światła, którego pragnie tak gorąco.

Niech ta wielka i ukochana rocznica będzie odtąd w całej ojczyźnie naszej zarazem i dniem Polskiej Macierzy Szkolnej.

Niech każdy Polak, od starca do dziecka, od możnego magnata do najuboższego wyrobnika złoży w tym dniu wedle swej możności jakąś ofiarę na rzecz Macierzy — na polskie szkoły ludowe; niech w miastach, po wsiach, w każdej rodzinie zarówno mężczyźni jak kobiety wezmą udział w tem szlachetnem dziele, niech pospieszą choć z najdrobniejszemi datkami, a wówczas dzień Trzeciego Maja, który stanie się zarazem dniem Macierzy, będzie podwójnem świętem narodowem, bo i pamiątką przeszłości i błogosławioną siejbą na przyszłość.

A gdy to nastąpi, — ukoi nam serca pewność, że te ostatnie ciemne chmury, których tyle nagromadził nad naszemi głowami wiek niedoli i niewoli, znikną na zawsze, a w świetle, które się uczyni

„ . . . . . . brat pozna swego brata
„I wejdzie nieśmiertelność jako anioł w człowieka
„I staniem ludem świata.

Dnia Trzeciego Maja, dnia niezapomnianej konstytucyi, dnia odrodzenia — szlachetniej i uroczyściej uczcić nie można.

Henryk Sienkiewicz.

* * *

Gorąco popierając apel naszego mistrza, wzywamy do *jednorazowej* składki na cel Polskiej Macierzy w Królestwie.

Od siebie przeznaczamy marek 30.

Redakcya.

Autonomia Królestwa.

Już w ostatnim numerze donosiliśmy, że Koło polskie wniosło w Dumie wniosek w sprawie *autonomii Królestwa.*

W ostatnich latach czterdziestu — a więc w epoce popowstaniowej — nie ma pewno ważniejszego postulatu nad powyższy. Abstrahując od tego, że jego doniosłość polega już na samej *historycznej* wartości, podkreślić trzeba jego *narodowo* uświadomiające znaczenie.

Królestwo, skrępowane w długoletniej niewoli myśli, słowa i czynu zrozumiało uzyskawszy chociaż tylko zaczątki swobody, że rozwijać się wówczas jedynie może, skoro mieć będzie takie formy ustroju, przy których myśl polska i czyn polski bądź to polityczny, bądź to społeczny w dodatnim dla kraju pójdą kierunku.

Zrozumienie to było ogólne. To też z uznaniem podkreślić należy ogólne placet, które na powyższy krok posłów polskich dało społeczeństwo. Przeglądając prasę warszawską, ilustrującą najjaskrawiej nastrój chwili, czytamy w organach nie zgadzających się z dotychczasową polityką Koła polskiego, że krok posłów „odpowiada zgodnej, spójnej, jednolitej i szczerej woli narodu, że jest nietylko hasłem chwili, lecz programem pokolenia.“ A choć jest on „w porównaniu z ideałami niezapomnianych, czcią niemal religijną otoczonych bohaterskich bojowników o niepodległość i wolność narodu z przed siedmdziesięciu sześciu i czterdziestu czterech lat bolesnem wyrzeczeniem się najdroższych dążeń i marzeń“, przedstawia on mimo zredukowania historycznych dążeń naszych akt „zimnej, spokojnej rozwagi, liczącej się z rzeczywistością.“

Wobec tego uznania i ogólnej aprobaty dysonans wniosły pisma i sfery, które ongi za czasów najgorszej reakcyi i ucisku propagowały ugodę. Starczość ich umysłu i niezdolność odczucia nastroju społeczeństwa postawiły je do pewnego stopnia po za społeczeństwem. Jest to ich losem tragicznym, ironicznie tragicznym, że przyzwyczajeni do „rządzenia“ bez narodu dziś jego odruchów naturalnych zrozumieć nie mogą. Zarzut ich jakoby wniosek o autonomię był odbiciem życzeń *jednej* partyi, a nie *ogółu* narodu, jest już nie tylko śmiesznym, lecz i niedołężnym. Bo czyż trzeba daleko sięgać, by przypomnieć sobie te wspaniałe manifestacye na rzecz autonomii? Czyż przypominać dopiero należy owe zatargi partyjne, polegające na kłótni o pierwszeństwo powyższego hasła? Zawiść powyższa jest bądź co bądź objawem smutnym; na szczęście sfery, z których ona się wyłania, są małoliczne i niegroźne. Sam fakt opozycyi w kwestyi, którą cały naród bez względu na odcienia partyjne uważa za swoją jest jednak typowym. Charakteryzuje on bowiem raz jeszcze samowolę i „pankowatość“ tych, którzy największy mieliby obecnie interes być w zgodzie z narodem.

Entuzyastyczne przyjęcie projektu w społeczeństwie samem nie przesądza oczywiście jego chwilowego praktycznego wyniku. Na ogół, przyznać trzeba, przyjęła go opinia rosyjska dość życzliwie. Mimo to trudno dziś wobec niepewności położenia i zmienności nastroju Dumy osądzić, jak się ona w decydującej chwili wobec wniosku o autonomię zachowa. Już sama dyskusya i odesłanie do komisyi poważnem byłoby na razie moralnem zwycięstwem. Oczywiście warunkiem koniecznym jest, by istniała duma.

Abstrahując od powyższych danych sam fakt, że w Dumie, że wobec społeczeństwa rosyjskiego poruszono oficyalnie kwestyę autonomii polskiej, jest już bodaj taktycznem zwycięstwem. Sprawa autonomii nie zejdzie bowiem obecnie z porządku dziennego. Teoretyzowano dotychczas o niej w klubach politycznych, w dyskusyach

---

Naród Polski
pod obcem panowaniem.

48)

Opowiedział
Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

— Cóż to za wódz ten Barclay de Tolly, co tylko ciągle się cofa przed najeźdźcą! Przeciwko Napoleonowi innego potrzeba wodza!

I zaraz potem obrany został naczelnym wodzem generał Kutuzow, wsławiony już zwycięstwem nad Turkami. Ten wyruszył przeciwko armii francuskiej i zastąpił jej drogę w pobliżu Moskwy nad rzeką, pod wsią *Borodino.* Nastąpiła tu nader krwawa bitwa, w której Rosyanie stracili połowę swojej armii tj. 52,000, a Francuzi 28,000 ludzi. Książę Józef Poniatowski na czele Polaków był jednym z bohaterów dnia tego (7-go września). [1])

— Bitwa pod Borodino, to jedna z najkrwawszych bitew, jaką znają dzieje! — takie zdanie przebiegło wkrótce całą Europę.

W bitwie tej zwycięstwo odniósł wprawdzie Napoleon, ale armia jego już tylko 95,000 ludzi wynosząca była w stanie opłakanym.

Teraz Kutuzow cofnął się do Moskwy i przeszedł tylko przez nią.

— Dzieci za mną! — nalegał na mieszkańców i wyciągnął ich wszystkich prawie ze sobą z miasta, tak, że Napoleon, gdy wkroczył w mury tej dawnej stolicy (14-go września), znalazł się jakby w wymartem, martwem mieście.

— Ani mieszkańców w mieście, ani żywności i jeszcze pożar! — narzekali zdziwieni i przerażeni Francuzi.

Albowiem gubernator Moskwy hr. Rostopczyn przed wejściem Francuzów wydał rozkaz:

— Obrócić miasto w perzynę, zniszczyć magazyny i zapasy żywności, głodem pokonać tych francuskich najezdników!

I spłonęło trzy czwarte części miasta (7000 domów), a ludność rosyjska, widząc płonące ukochane miasto stołeczne Moskwę, wpadała w wściekłość i groziła zapalczywie:

— Francuzi winni nieszczęściu naszemu, bijmy tych chciwych najeźdźców!

Napoleon zabawił w Moskwie 7 tygodni (od 14-go września do 19-go października 1812 roku), lecz, gdy car Aleksander o pokoju ani słyszeć nie chciał i gdy zbliżała się wczesna zima, [2]) musiał nakazać odwrót swemu wojsku (18-go października).

---

[1]) Rosyanie zajmowali bardzo korzystne stanowisko pomiędzy Borodinem a Możajskiem, bo strzegło ich pięć ogromnych redut (szańców polnych). Armaty grzmiały z obu stron, granaty rosyjskie zasypywały bateryę polskie. Na ziemię runął szef brygady, bo kula urwała mu nogę. Nie ustąpił z pola walki, lecz z ziemi wydawał dzielne rozkazy. — To Sowiński przyszły bohater z pod Woli (r. 1831)! — O czworoboki polskiej piechoty rozbiła się jazda nieprzyjacielska. Szef brygady Rybiński zdobył redutę i 13 armat. W gwałtownem natarciu na główną redutę świetnie odznaczył się pułk kirasyerów polskich. W tej pamiętnej bitwie Napoleon nie rozwinął dawniejszych swych zdolności. — Sokołowski, IV, 1386.

[2]) Jeszcze przed zbliżeniem się pory zimowej nadaremnie radził Napoleonowi książę Józef:

— Najjaśniejszy Panie, „strasznymi sprzymierzeńcami Moskwy są mróz i głód“, a więc, póki czas, wielka armia powinna cofnąć się za Dniepr i jak w r. 1807 przetrwać zimna i słoty na przyjaznej ziemi!

— Zapewniam księcia, — odrzekł dumnie Napoleon — że nie lękam się losu Karola XII! — Morawski, VI, 156. 157.

prywatnych lub na zjazdach partyjnych.

Dziś stała się ona kwestyą realną. I chociażby Dumę rozwiązano, przyszła nią zająć by się musiała. I w tej realności wniosku autonomicznego leży jego doniosłość.

Projekt sam może się podobać, może niepodobać. Przyznać trzeba, że jest on ogólnie ujęty, że szczególnie § 4 przedstawia konglomerat różnorodnych ogólnikowości. Uwzględnić trzeba jednak pewne wymagania, a nawet uprzedzenia stronnictw rosyjskich, których poparcie jest zapewnione. Z drugiej strony stwierdzić należy, że zakres ustępstw i uwzględnień jest ściśle uwarunkowany tem, co społeczeństwo uznało za bezwzględnie konieczne. Jest on dziś, jak już wyżej wspomnieliśmy, odbiciem dążeń koniecznych społeczeństwa. Dążenia idą dalej. Świadome ich ograniczenie do niezbędnego minimum potrzeb i podanych warunków rozwoju świadczy, że zdrowa i realna myśl polityczna zwyciężyła nad politycznym romantyzmem. Jej utrwalenie się daje nadzieję, że osiągnie cel, do którego społeczeństwo dąży, że odrębności narodowej nada również samodzielne formy prawno-polityczne.

Budżet komisyi kolonizacyjnej.

W ubiegłym tygodniu debatowano długo i szeroko nad losem komisyi kolonizacyjnej. Ostatecznie (w sejmie pruskim inaczej być nie może) etat po różnych krytycznych uwagach i żalach, że nie dało się jeszcze w obecnej sesyi uchwalić nowego projektu antypolskiego, przyjęto.

Krytyczne uwagi, o ile nie były natury politycznej, odnosiły się przeważnie do strony finansowej.

Komisya kolonizacyjna jest bądź co bądź instytucyą finansową i to instytucyą założoną na szeroką skalę. Utrzymanie komisyi obciąża budżet pruski w roku 1905 na poważną sumę 1 605 576 marek. Suma ta wzrasta z roku na rok zważywszy, że w ubiegłem dwudziestoleciu rząd wydał na administracyę komisyi 10,583,037 marek.

W stosunku do prywatnych instytucyi parcelacyjnych robi wobec powyższych wydatków Komisya kolonizacyjna fatalne interesy, tracąc nie tylko procent od kapitału, lecz pewnie i sam kapitał.

Powody tej gospodarki są oczywiście różnorodne, przeważnie jednakże polegają na dwóch zasadniczych warunkach, politycznym i gospodarczym. Kolonizacya — dziś nikt się nie łudzi — idzie w naszych dzielnicach równolegle z germanizacyą i protestantyzacyą. By jej działanie ułatwić zakłada rząd nowe szkoły dla dzieci kolonistów, buduje urzędy i co najkosztowniejsze, liczne mniejsze lub większe zbory jako widome objawy protestantyzacyi. — By pozatem ułatwić i udogodnić nabywanie ziemi tworzy komisya wzorowe gospodarstwa, reguluje drogi, uwzględnia wszelkie potrzeby gospodarcze. — Wydatki na cele powyższe są znaczne i droższe niż w warunkach normalnych t. j. gdyby prace odnośne prowadził sam kolonista.

Z drugiej strony wydatki te podnoszą cenę kolonii tak dalece, iż szacunek sprzedaży nie może ze względu na ideę kolonizacyjną dorównać cenie wartości. Pozatem traci komisya wiele czasu na rozkolonizowanie ziemi, temwięcej, że, jak wiadomo, liczba kolonistów jest stosunkowo nikła. To też rosną, a w każdym razie pochłaniają sumy znaczne koszta administracyi zakupionej ziemi; trwa ona często ponad 5 lat. To też dziwić nas nie będzie, jeżeli przeczytamy w sprawozdaniu komisyi, że nadwyżki za lat 20 wynoszą 50,527,768 marek, dopłaty zaś 63,096,115 marek czyli przeszło 13 milionów straty. Tyczy to nietylko ogólnych liczb dochodowych i wydatków.

—Zginęliśmy niezawodnie! — zawołał Sanguszko, [1]) słysząc ten rozkaz cesarza.

A Napoleon, sam wybierając się w drogę, myślał jeszcze niepewnie:

— Wyruszę teraz na Petersburg!

— Albo podążę teraz na Tulę!

W tem na drodze do Małego Jarosławca opadli go Kozacy i ledwie generał Pac ocalił go z niebezpieczeństwa.

Utrudniało odwrót wojska to, że jazda już prawie nie miała koni, że było bardzo wiele wozów zdobyczą naładowanych, a także pełno chorych i rannych, obok nich wiele rodzin chroniących się przed Rosyanami przy francuskiem wojsku.

Wkrótce też nastały silne mrozy, a wojsko nie miało ciepłego ubrania. Ginęli ludzie, padały konie, tak że musiano pozostawić w miejscu wozy ładowne i działa, wskutek czego znów okazał się brak żywności i paszy. A tu od tyłu następował nieubłagany Kutuzów i zmuszał do zaciętych walk, jak pod Woronowem (17-go października), gdzie zginął zasłużony generał Fiszer, dawny legionista i gdzie tylko dzielne pułki polskie ocaliły Murata od niebezpieczeństwa i pod Wiazmą, gdzie znów Polacy uratowali Napoleona od zupełnej klęski.

Po trzech tygodniach ledwie 49,000 wojska, prawie bez jazdy, doszło w jakim takim porządku do Smoleńska (9-go listopada), reszta wlokła się tylko jako bezładne kupy, brnąc po śniegu i dygocąc z zimna przy 17-tu stopniach mrozu.

Tymczasem do Księstwa Warszawskiego wpadł już Tormasów, a z nim połączył się z armią mołdawską Czyczagow, a działaniom ich wcale nie przeszkadzał Schwarzenberg. Już też Wittgenstein wyparł Francuzów z ponad Dźwiny i wszedł do Litwy, a armia francuska w dalszym odwrocie od Smoleńska musiała się przebijać pomiędzy trzema armiami rosyjskiemi. Wreszcie zatrzymała się nad rzeką *Berezyną*, pod *Borysowem*, który zajął już Czyczagow. Przed tymże ustąpić musiał Dąbrowski, niedawny zwycięzca z pod Bobrujska i ze swemi szczupłemi siłami przeprawił się na drugą stronę rzeki. Nad Berezyną skupiły się wszystkie wojska i od przejścia przez tę rzekę zależał teraz dalszy los armii francuskiej. Lecz była ona już zupełnie przez Rosyan otoczona a pozbawiona żywności, tak że żołnierze żywili się końskiem ścierwem i mąką skropioną. Marszałek Oudinot odebrał wprawdzie Borysów i zbudował dwa mosty koło wsi Studzianki, przeprawa rozpoczęła się i trwała już trzy dni (od 26 do 28 listopada). Lecz równocześnie uderzyli na przeprawiających się Francuzów Czyczagow po prawej stronie a Wittgenstein po lewej, tak że bezładne kupy ludzi i wozów wcisnęły się na mosty i wstrzymały przejście. Toczyły się więc mordercze bitwy, a potem nastąpiła straszna klęska, pomimo cudów męstwa, jakich dokazywali francuscy marszałkowie Ney, Oudinot, Wiktor i Polacy. Generał Zajączek stracił nogę, Dąbrowski miał dłoń przeszytą kulą karabinową, a Kniaziewicz ranny w nogę kulą armatnią. Z całej krociowej armii pozostało zaledwie około 40,000 ludzi, w tem 6,000 Polaków, którzy jedni zdołali z sobą uprowadzić armaty. Reszta zginęła w walce, po-

[1]) Eustachy ks. Sanguszko, niegdyś wicebrygadyer, najznakomitszy z panów wołyńskich, gotowy naczelnik powstania polskiego w południowych ziemiach, gdyby na takowe był zezwolił Napoleon. — Morawski. VI, 135.

I poszczególne pozycye — np. wytwarzanie przemysłu w formie tworzenia cegielń — wykazują te same ujemne rezultaty: nadwyżka 3,546,044 marek, dopłata 5,023,079 mrk., to znaczy prawie 1 i pół miliona marek straty.

Przyglądając się cyfrom odnoszącym się do renty, jaką dają ulokowane w 15 majątkach kapitały, spostrzegamy między innemi ciekawe liczby: 2,98°/o, 2,8°/o, 3,01°/o, 2,24°/o, a nawet 1,51°/o. Są to liczby nikłe, zważywszy że nie uwzględniamy procentu od wkładanego kapitału. Koszt zwiększyłby się wówczas niewątpliwie, a spadłaby jeszcze znaczniej renta, do której i tak rząd — zaciągając pożyczki na $3\frac{1}{2}$, 4, a nawet $4\frac{1}{2}$°/o — liczne miliony dokładać musi. Nie wdając się tu w szczegółowe obliczenia podkreślamy tylko jedną jeszcze cyfrę, że komisya kolonizacyjna miała do grudnia 1906 wydatków 444 miliony marek, zysków 107.

Wydatki przewyższyły zatem dochody o 337 milionów marek. Jest to poważna suma, oznaczająca, że do renty każdego kolonisty dopłacać musi chwilowo rząd $1\frac{3}{4}$°/o, by wyrównać normalny obieg finansowy.

Jest to bądź co bądź i na rząd pruski eksperyment drogi i — złowrogi. Chorobliwa zwyżka cen ziemi oddziała niekorzystnie na stosunki ekonomiczne rolnictwa. Skutki okazują się teraz chociażby w tem, że projektom wywłaszczania Polaków opierają się niemieccy rolnicy, obawiając się słusznie, że wówczas nastąpi nagła zniżka ceny ziemi i oni wobec swego obdłużenia upadną. Sukcesu politycznego na razie również nie widać, chociaż, dla nas Polaków winny być ostatnie wybory ostrzegawcem napomnieniem, że może być gorzej, że może stan naszego posiadania zmienić się jeszcze więcej na niekorzyść naszą. Każdy bowiem nabytek komisyi kolonizacyjnej jest dla nas stracony, bo, o ile ludność polska go zamieszkiwała, kolonizacya ją powoli wypiera osadzając Niemców.

Kolonistów sprowadziła komisya ogółem 12 415, wraz z rodzinami 81,000 osób. Wyeliminować z nich trzeba 2,926 rodzin (około 15,000 osób), pochodzących z Księstwa lub Prus Zachodnich. Pozostanie wówczas sprowadzonych Niemców około 65,000.

Liczba ta może zdawać się nie wielka. Zważywszy jednak prócz tego i na kolonizacye urzędników wszelkich kategoryi, na różne środki, któremi posługuje się rząd pruski, a szczególnie na to, że procentualny stosunek Polaków do Niemców przesuwa się na naszą niekorzyść, uświadomić sobie musimy grozę położenia i niebezpieczeństwo kolonizacyi niemieckiej.

Prawda i my postąpiliśmy naprzód, staliśmy się oszczędniejsi i gospodarniejsi, lecz pamiętajmy mimo to, że jeszcze setki rąk polskich wyciąga się ku pieniądzom komisyi kolonizacyjnej. Każda sprzedaż to niepowetowana klęska nasza. Bo cóż nam nasza oszczędność i gospodarność pomoże, jeżeli zabraknie nam ziemi. A jednak kurczy się ona.

Ostatnie wieści o Siedlcach hrabianki Mielżyńskiej każą nowej spodziewać się katastrofy.

Zapobiedz wypadkom takim możemy jedynie przez jednolitą, zdrową i silną opinię. Nie mamy jej jeszcze. Brak jej odczuwać daje się na każdym kroku, na każdem polu życia publicznego.

To też najświętszym naszym obowiązkiem wytworzyć ją między sobą, by stała ona na straży naszych interesów narodowych tak politycznych jak i społecznych i moralnych.

Przegląd polityczny.

Obrady nad etatem rzeszy postąpiły o tyle naprzód, że załatwiono się już z wydziałem pocztowym i wojskowym. Przy ostatnim w ciętej mowie napiętnował nasz poseł Maciej Mielżyński ujawniającą się już i we woj-

---

tonęła w rzece, rozproszyła się lub dostała się do niewoli¹).

— Teraz wszystko stracone! — mruknął ponuro Napoleon, a dowiedziawszy się nadto o spisku jaki przeciwko niemu, zawiązał w Paryżu Mallet, opuścił wojsko w Smorgoniach (5-go grudnia) i podążył do Mołodeczna²), gdzie zdał naczelne dowództwo Muratowi. Sam zaś, potajemnie, pod osłoną dwóch tylko oddziałów polskich ułanów udał się spiesznie przez Wilno³), Warszawę i Drezno do Paryża.⁴)

Z okropną klęską berezyńską zakończyła się samoistość państwa polskiego i nastąpił **upadek Księstwa Warszawskiego.**

O tej klęsce do ostatniej chwili nie chciano wierzyć w Księstwie Warszawskiem. Dopiero uwierzono, gdy ukazały się wracające przez Księstwo gromady rozbitej armii Napoleońskiej, gdy do Warszawy przybył ks. Poniatowski z niedobitkami swego wojska i gdy rozległy się rozpaczliwe głosy świadczące o smutnej rzeczywistości:

— Co się dzieje?... Moskale już zajęli całe Księstwo, dobrze, iż twierdz nie zabrali!

— Schwarzenberg z Austryakami oddał już naszą Warszawę generałowi moskiewskiemu Miłoradowiczowi! (8-go lutego 1813 r.)

Wtedy książę Józef Poniatowski, rząd i rada konfederacyi generalnej schronili się do Piotrkowa, potem do Częstochowy, wreszcie do Krakowa. W tej dawnej stolicy Polski skupiła się na jakiś czas cała niezawisła Polska.

Car Aleksander przybył już do Księstwa i stanął w Kaliszu. Na jego rozkaz ustanowiony został w Warszawie rząd tymczasowy t. zw. „Rada Najwyższa,“ której przewodniczył senator rosyjski Łanskoj, wiceprezesem był Nowosilcow, a członkami z Polaków: Wawrzecki i książę Lubecki.

Odstępowali od Napoleona po kolei wszyscy sprzymierzeńcy, a w Niemczech rozległ się powszechny, namiętny okrzyk:

— Wypowiadamy wojnę narodową przeciwko ciemiężcy ludzkości!

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

¹) Świadkowie tych wypadków opisują okropne sceny. Kogo z przeprawiających się oszczędził ogień, pochłonęły wezbrane lodami nurty rzeki. Rozpacz ogarnęła wszystkich, zapanowało zupełne rozprzężenie i bezkarność, tak że nawet na cesarza nie zważano. Każdy ratował się sam, a raczej umierał pojedyńczo lub w tłumach od głodu, mrozu, pogoni. Spalonych po drodze trupów naliczono później 214,000. — Polacy tylko sami nie opuszczali szyków. „Oni torowali drogę rozbitkom, oni je zasłaniali; z największem niebezpieczeństwem roznosili rozkazy, przewodniczyli... byli wszędzie“. Naoczny, wiarogodny świadek mówi o nich:

— Przepadła już ich sprawa, a szlachetni ci sprzymierzeńcy jakby nie wiedzieli o tem, nie przestali być puklerzem dla francuskiego żołnierza. Po Zajączku, Dąbrowskim, Kniaziewiczu, wiódł ich Izydor Krasiński. — Morawski, VI, 160, 161.

²) Mołodeczno, na Litwie w południ. wschodn. stronie.

³) Przy 28 stopniach Réaumura (wymaw. Reomiura) biegł Napoleon szybko przez Miedniki, przedmieścia Wilna i Kowno. Manowcami przeprowadzał go obywatel miejscowy Falkowski, sam przebrany za woźnicę. W Maryanpolu zawołał Napoleon:

— Stąd puszczę się krótszą drogą przez Prusy!

— Nie, Najjaśniejszy Panie! odrzekł mu poczmistrz Mikulicz — tam każdy czychać będzie na twoje życie, tu w Polsce, każdy odda swoje za ocalenie twojego!

Napoleon zwrócił się do Warszawy, przybywszy tam zabawił 2 godziny. W dalszej aż do Paryża podróży strzegł go oficer służbowy z pułku Krasińskiego, późniejszy generał Wąsowicz, ten sam, w którego czapce oglądał Napoleon przed pięciu miesiącami brzegi Niemna. — Morawski, VI, 161, 162.

⁴) **Lewicki, 403—407; Sokołowski, IV, 1387; Limanowski, 75—77.**

sku tendencyę bojkotowania zakładów polskich.

Prasa niemiecka opozycyjno-obywatelska nie omieszkała oczywiście wykazać, jak daleko jeszcze do owej wspólności idei i interesów, o których marzył ks. Bülow rozwiązując parlament. Reforma prawa karnego, której od lat domagają się koła postępowe, żółwim postępuje krokiem. Jedynym dodatnim w czasie ostatnim czynnikiem, to bądź co bądź przedłożenie parlamentowi ustawy ograniczającej procesy tyczące *obrazy majestatu*. Jak wiadomo, procesy o obrazę majestatu wzrastały z roku na rok w sposób wprost zastraszający. Jest zatem uzasadniona nadzieja, że o ile parlament ustawę powyższą przyjmie, liczba ich zmaleje.

I dyskusya nad etatem wojskowym dowiodła, że słodkie słówka ks. Bülowa w rzeczywistości inaczej wyglądają. Pruski minister wojny bowiem nie chciał nic słyszeć o oszczędnościach, temwięcej, że reformy wojskowe — nowe działa, nowe umundurowanie i t. d. — kosztują pieniądze. Oczywiście nie chcemy wojny, twierdził minister, lecz musimy być przygotowani na wszelkie możliwości w niepewnych i zdradliwych czasach dzisiejszych. Najlepszą, według jego zdania rękojmią pokoju jest zawsze do boju gotowa armia. Co prawda brzmi to dziwnie w przeddzień konferencyi w Haagu. To też mowa ministra wywołała pewien niepokój w prasie i świecie zachodnio-europejskim. Oficyalna prasa niemiecka pospieszyła oczywiście z uspakajającemi wyjaśnieniami. Hałas w każdym razie był i powiększył jedynie nieufność do „pokojowej" polityki niemieckiej.

W liberalnej prasie wywołuje też niepokój i obawę traktat handlowy między Niemcami a Ameryką. Historya traktatu jest żywą ilustracyą stosunku agraryuszów do przemysłowców niemieckich. Pierwsi nie chcą z obawy konkurencyi zezwolić na obniżenie cła przy wprowadzaniu mięsa amerykańskiego; drudzy cierpią na tem, gdyż rząd amerykański wobec nieprzychylnej postawy rządu niemieckiego w kwestyi powyższej nie myśli o zniżeniu cła na wyroby przemysłu niemieckiego. To też niezadowolenie w odnośnych sferach niemieckich jest wielkie; nie bez słuszności zaznaczają, że nie załagodzi je ni wymiana profesorów, ni wysyłka pomnikowych podarków.

W stosunkach *zewnętrznych* rzeszy stoi w pierwszym rzędzie stanowisko jej do *Francyi*. Jak już wyżej wspomnieliśmy, mowa ministra wojny *Einema* wywołała pewne rozdrażnienie, nie mogące wpłynąć w kierunku dodatnim. Co prawda prasa niemiecka założyła nagle różowe okulary (na rozkaz p. Bülowa) i konstatuje wobec wszystkich, że właściwie powodów do niesnasek i kłótni francusko-niemieckich nie ma żadnych.

Stwierdza ona, że wszelkie rozsądne i rozważne elementy życzą sobie, by wszelkie zatargi, których w stosunkach dwóch narodów nigdy uniknąć nie można, załatwiano bez szowinizmu i bez namiętnej zaciekłości.

Ba. umysły niektóre poszły tak daleko, że proponują powołanie do życia *stałe sądu rozjemczego* między Francyą a Niemcami. W teoryi brzmi projekt taki nader ponętnie, kto jednak zna zasady polityki niemieckiej, wie dobrze, że projekt w rodzaju podobnym wyższego jest — utopią. To też prasa niemiecka mimo komplementów w stronę inicyatorów uznaje go „na razie" za niewykonalny, chociażby dla tego, że nim by poważnie o nim mówić można, należałoby się wszelkie drażliwe kwestye załatwić. A jest ich wiele. Przypomnimy — abstrahując od sprawy marokańskiej — chociażby tylko jednę jedyną sprawę zabranych prowincyi Alzacyi i Lotaryngii, a zrozumiemy, że trudności są szalone i że dużo w Szprewie i Sekwanie wody upłynie, nim „przyjazne" nastaną stosunki między rzeszą a rzeczpospolitą.

O królu angielskim Edwardzie na razie ucichło; spotyka on się dziś przelotnie raz jeszcze z królem włoskim w Rzymie. Będzie to jednakże osobista grzeczność monarchy włoskiego, który chce uścisnąć w stołecznem swem mieście (chociaż tylko na dworcu) prawicę sympatycznego Edwarda.

Tymczasem gabinet angielski pracuje. A choć oficyalnie i półoficyalnie zaprzecza temu, jakoby powstawało czteroprzymierze angielsko-francusko-hiszpańsko-włoskie, to nie ulega pewnie wątpliwości, że podróże Edwarda wydadzą owoce. Za wyszkolona i za kulturalna politycznie dyplomacya i prasa angielska, by krzyczała dziś już, co jutro ma się stać. Najświeższym dowodem cichej pracy angielskiej to konferencya ambasadora austryackiego w Londynie z swoim monarchą w Pradze i ministrem spraw zagranicznych Aerenthalem we Wiedniu. Zważywszy, że król angielski ma się z okazyi swej corocznej kuracyi w Marienbadzie spotkać w tym roku z cesarzem austryackim, nagła ta konferencya nabiera poważniejszego charakteru, temwięcej, że plany angielskie dążą syste-

Z teatru.

Horsztyński — dramat w pięciu aktach Juliusza Słowackiego. Benefis pana Juliana Osterwy.

Potężny duch powiał tym razem ze sceny naszej. Widzieliśmy dramat dziejowy, wezbrany ogromną mocą uczucia — podniesiony do wyżyn tragizmu, dramat rozpoczęty „fałszywym akordem, a kończący się gwałtownem zerwaniem strun, — stłuczeniem harfy...

W powietrzu wisi jakaś okropna tajemnica — której rozwiązanie dokonuje się za sceną — tajemnica konania Rzeczypospolitej.

„Szaleństwo! — Zasnęli Polacy, i czuję że na długo, na długo... Pulaski w Ameryce, król w Warszawie, kraj zaprzedany Moskalom — zdrajca!... Dzieci ich kiedyś przeklinać będą —"

A na scenie stoją naprzeciw siebie dwa krogulce, dwa lwy rozżarte krwawą walką nienawiści i zemsty nieugaszonej, dwa na przeciwnych swoich słońcach bogi — z piorunami w dłoni i wściekłością w sercu.

Jeden — hetman litewski, wielki jak — — hetman, wielki, bo podpiera spróchniały tron Stanisława Augusta, gotów próchno tego tronu rzucić Moskwie na pożarcie; drugi — Horsztyński, stary konfederat barski, któremu Moskale oczy wykapali płonącą gromnicą, ślepy starzec — ale z jego pustych oczodołów wyziera dusza potężna; wielka miłość i wielka nienawiść, i żądza zemsty i moc przebaczenia. —

A między nimi stoi syn Hetmana, Szczęsny, także wielki, ale zarazem mały i słaby, o orlich porywach, ale z skrzydły złamanemi — o wzroku sokolim, ale że mu wypalono grom... wielkości oczy rozumu — oczy... dzieci... więc w krainie myśli błądzi j... ślepy...

Polski Hamlet — niepewny, słaby i smutny jak Hamlet — i jak Hamlet ginie na gruzach ojcowej potęgi, podminowanej prochem, do którego on sam przykłada lont rozpalony...

Wspaniała tragedya — gmach wyniosły zbudowany na dymiących zgliszczach upadającego narodu...

Na scenie naszej wysze... ski, ogólnie wziąwszy, ... tytułową grał pan Ryg...

Niektóre miejsca był... ryczne, zwłaszcza chw... Horsztyński opowiada o ... knych wspomnieniach, ale to ... ka, nie psująca roli, którą artysta ... łości oddał bardzo dobrze. Była tam i potęga duszy starego konfederata. ...

matycznie do tego, by Niemcy zupełnie izolować to jest uczynić politycznie osamotnionemi. Tych swych zamiarów nie wypierają się Anglicy wcale; tem też tłomaczy się ta prawie żywiołowa nienawiść Niemców ku Anglikom i ich kierownikowi królowi Edwardowi.

W *Austryi* coraz bliższy termin wyborów. Walka wyborcza wre na dobre, a biorą w niej udział i ministrowie. Zaciekawienie jest ogólne, bo trudno dziś przewidzieć, jakim będzie nowy ten parlament, mający, jak wiadomo, wyjść z powszechnych wyborów.

By zjednać Czechów, naraził się na trudy dalekiej ze względu na swój wiek podróży do Pragi cesarz Franciszek Józef. I trzeba przyznać, że owacyjnie i serdecznie przyjmuje go naród czeski, widzący w dłuższym pobycie cesarza w „złotej Pradze“ potwierdzenie „samodzielności“ królestwa czeskiego. Inaczej Niemcy. Cesarz nie raczył nawet przyjąć ich deputacyi, która miała mu przedłożyć memoryał wyjaśniający „krzywdy i ucisk“ Niemców czeskich.

Galicya idzie, jak już korespondent nasz lwowski wyjaśnił, za przykładem ościennych krajów. I tu wre walka żywo i gorąco. Odezwa *rady narodowej* wydała zdaje się dodatnie owoce. Coraz częściej słychać bowiem, że rozmaici t. zw. „luźni“ to jest na własną rękę działający kandydaci uznają jej władzę i podporządkowują się konieczności solidarności narodowej. Szanse poszczególnych partyi trudno osądzić, nie można jednakże nie uznać, że jednolitość i karność stronnictwa *demokratyczno-narodowego* daje mu wielkie szanse zdobycia poważnej liczby głosów.

W *Rosyi* wahają się wciąż jeszcze losy dumy. Burzliwsze dzisiejsze posiedzenie w kwestyi wojskowej, podczas którego ostro występowano przeciw rządowi szczególnie ze strony skrajnej lewicy, uważają pesymiści za jedno z ostatnich. Rząd bowiem nie ustąpi od swoich postulatów wojskowych i w danym razie — nieposłuszną dumę wyśle do domu*).

Jakiebądź będą jej losy, *kwestya polska* nadała jej istnieniu ważne piętno. Wniosek posłów polskich, żądający *autonomii dla Królestwa*, podkreślił ważność i żywotność kwestyi polskiej w państwie carskiem. Projekt autonomii przyjęło społeczeństwo polskie w przeważającej swej liczbie — prócz sfer konserwatywnych — z uznaniem i z szczerą wdzięcznością. Odbija on bowiem żywo dzisiejsze dążenia polityczne społeczeństwa i wskazuje jasno wytyczną drogę, po której społeczeństwo pójdzie aż do zwycięstwa.

Projekt autonomii Królestwa Polskiego.

Piszemy o nim w artykule wstępnym. Tu podajemy jego redakcyę:

Artykuł *1*-szy. Terytorium Królestwa stanowi kraj, istniejący pod tą nazwą w granicach, określonych w *1815* r.

Artykuł *2*-gi. Królestwo Polskie, stanowiąc nierozdzielną część państwa rosyjskiego, w sprawach swoich wewnętrznych zarządzane jest przez specyalne instytucye na zasadzie specyalnego prawodawstwa.

Art. *3*-ci. Do spraw wewnętrznych Królestwa ustanowione zostają: osobny sejm, skarb, budżet, zarządy administracyjne z namiestnikiem na czele, instytucye sądowe z senatem Królestwa i osobny w radzie ministrów minister-sekretarz stanu dla spraw Królestwa.

Art. *4*-ty. Z pod kompetencyi sejmu zostają wyłączone: lista cywilna domu cesarskiego, sprawy instytucyi dworu cesarskiego, sprawy kościoła prawosławnego, sprawy zagraniczne, armia i flota, a także wszystkie należące do ministeryów wojny i marynarki komunikacye i urządzenia, sprawy monetarne, prawodawstwo celne i akcyzowe, pocztowe, telegraficzne, ogólno-państwowe i telefoniczne, a także taryfy komunikacyi międzynarodowej i ogólno państwowej, pocztowej, telegraficznej i kolejowej, taryfy międzynarodowej bezpośredniej komunikacyi wewnątrz cesarstwa, prawodawstwo, dotyczące znaków towarowych i przywilejów, a także literackiej i artystycznej własności, prawodawstwo karne, dotyczące spraw o bunt przeciwko władzy zwierzchniej, zdrady stanu, powstania, przekroczenia przepisów o powinności wojskowej, o fałszowaniu monety, papierów wartościowych, znaków, przekroczenia ustaw kwarantannowej, celnej, akcyzowej, pocztowej, telegraficznej, telefonicznej; nakoniec wyłączone zostają pożyczki ogólno-państwowe i zobowiązania.

Art. *5*-ty. Do kompetencyi sejmu należy prawodawstwo we wszystkich sprawach kraju z wyłączeniem wskazanych w art. 4-tym, ustanawianie wszelkiego rodzaju podatków, opłat, poborów, powinności z wyjątkiem opłat akcyzowych i celnych, rozpoznanie i zatwierdzenie budżetu corocznego, preliminarza dochodów i rozchodów skarbu Królestwa, a także sprawozdania

*) Niebezpieczeństwo rozwiązania minęło. Duma przyjęła projekt rządowy.

---

wielka miłość i nienasycona żą- zemsty i serce pełne bólu na widok -onania Rzeczypospolitej.

Technicznie rola opracowaną była bez zarzutu.

Hetmana litewskiego grał pan Staniewski — niestety nie był to partner godny Horsztyńskiego. Pan Staniewski swego czasu doskonale grał prostego szlachcica w Kajetanie Węgierskim ... magnatem pan Staniewski być ... Braknie mu szerokiego ge- ...wi magnackiej.

...logowa z Horsztyńskim, ...tyczniejsza w całym po- ...a nie tak jak powinna — ...na Staniewskiego. Zwłasz- ...atnią chwilę kiedy hetman wy- ...zi z okrzykiem: „Każ strzelać za mną!“ — oddał pan Staniewski wcale nie po magnacku. Nie magnacką też była jego charakterystyka, twarz przypominała może Maćka Borkowica, albo jakiegoś atamana kozaków Siczowych, ale nigdy polskiego karmazyna. Zresztą była i za młodą na rówiennika Horsztyńskiego, sześćdziesięcioletniego, siwego jak gołąb starca.

Wreszcie Szczęsnym był benefisant, pan Osterwa. Może niejedno możnaby w roli jego zmienić, może za ciasną trochę była jego skala, od słabej niepewności zaprawionej bolesną ironią, do rwącej jak lawina potęgi ducha — ale przyznać trzeba, że młody artysta w roli Szczęsnego okazał niepospolity talent i niezwykłą siłę uczucia. Było można widzieć i odczuć, że artysta zżył się całą duszą w swoją rolę, i to żywiołowe jego uczucie intuicyjnie przeprowadzało go szczęśliwie przez najzawilsze momenty.

Role kobiece, Amelii i Salomei, odtworzyły udatnie panie: Wojciechowska i Bogusińska.

Wspomnieć jeszcze muszę epizodyczną scenę: dyalog między Sforką i Trombonistą, który w obsadzie pp. Jaracza i Junoszy wyszedł iście koncertowo. Pan Jaracz jako intendant Sforka stworzył typ nowy i oryginalny, bardzo żywy i charakterystyczny, pan Junosza zadziwiał swoją swobodą i naturalnością.

Obsada reszty ról była udatną. Utalentowanego benefisanta spotkały gorące owacye — wieńce i kwiaty — publiczność nasza umie doprawdy być wdzięczną i serdeczną dla swych ulubieńców.

Kazimierz U.

kontroli Królestwa z wykonania budżetu, rozpoznanie i zatwierdzenie sprawozdania z zarządu Królestwa.

Art. *6*-ty. Przyjęte przez Sejm projekty praw przedstawiane są do Najwyższego zatwierdzenia przez sekretarza stanu do spraw Królestwa Polskiego. Zatwierdzone projekty praw z kontrasygnatą sekretarza stanu ogłaszane zostają w dzienniku praw, wydawanym w Warszawie.

Art. *7*-my. Sejm zbiera się corocznie w Warszawie na mocy rozkazu najwyższego, kontrasygnowanego przez ministra sekretarza stanu. Rozwiązanie sejmu, a także zawieszenie czasowe zajęć odbywa się wedle przepisów, ustanowionych dla izby państwowej, pod warunkiem, że odnośne akty władzy zwierzchniej kontrasygnuje sekretarz stanu.

Każda sesya sejmu trwa najmniej trzy miesiące.

Art. *8*-my. Sposób i ordynacya wyborów, do pierwszego sejmu, skład tegoż liczebny, sposób wyborów, będzie określony przez prawo specyalne z tem zastrzeżeniem, że sejm będzie wybrany na zasadzie powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego głosowania.

Art. 9-ty. Władza wykonawcza w Królestwie, poza wyjątkami, które wskaże art. 12, należy do osobnego zarządu, na czele którego stoi namiestnik, mianowany przez władzę najwyższą; namiestnik nie może być równocześnie dowodzącym wojskami.

Art. *10*-ty. Stosunek namiestnika do sejmu, ustrój władz sądowych kraju, wszystkich jego organów administracyjnych i samorządu, ich stosunku do namiestnika będą określone przez sejm w sposób, przepisany przez art. 5 i 6.

Art. *11*-ty. Minister dla spraw Królestwa Polskiego, mianowany jest przez władzę najwyższą z pośród Polaków, obywateli Królestwa Polskiego, w sposób, w jaki mianowani będą ministrowie. Minister ten będzie przedstawiał do uznania Najwyższego uchwalone przez sejm projekty do praw oraz wszystkie dotyczące Królestwa sprawy, które podlegać będą sankcyi najwyższej.

Minister-sekretarz stanu kontrasygnuje i wysyła wedle przeznaczenia, wychodzące od władzy najwyższej mianowania rozporządzenia, dotyczące Królestwa Polskiego: uczestniczy w pracy rady ministrów, szczególnie jeżeli chodzi o rozstrzyganie spraw ogólno-państwowych, ale dotyczących Królestwa; przedstawia radzie wnioski swoje w sprawach ogólno-państwowych.

Minister dla Królestwa niesie odpowiedzialność na tych samych zasadach, co inni ministrowie; w sprawach Królestwa jest odpowiedzialny przed jego Sejmem.

Art. *12*-ty. Z pomiędzy spraw ogólno-państwowych, wymienionych w art. 4-tym, bezpośrednio zarządowi centralnych władz wykonawczych podlegają wszystkie sprawy, dotyczące ministeryum dworu, spraw zagranicznych, wojny, marynarki i floty. Synodu.

Zarządzanie w granicach Królestwa innemi sprawami ogólno-państwowemi, wymienionemi w art. 4-tym należy do miejscowych władz Królestwa, z tem zastrzeżeniem, że władze te we wszystkich sprawach postępują na ścisłych zasadach praw ogólno-państwowych.

Art. *13*-ty mówi o budżecie Królestwa i o sprawozdaniu z jego dochodów i rozchodów.

Art. *14*-ty. Do skarbu Królestwa wpływają: wszystkie pobierane w kraju podatki pośrednie, cła, pobory, dochody ogólnopaństwowych regalii rządowych, dochody wszystkich majątków, kapitałów, przedsięwzięć skarbu Królestwa.

Cła, pobierane w Królestwie od towarów tranzytowych wysyłanych do Królestwa, przepisane są na dochód Królestwa.

Art. *15*-ty. Skarb Królestwa uczestniczy proporcyonalnie do liczby ludności kraju w stosunku do ludności całego państwa w następujących rozchodach: na utrzymanie członków domu cesarskiego, ministeryum dworu, umorzenie pożyczek państwowych i zobowiązań, spłaty procentów, gwarancye dla kolei w obrębie Królestwa, na utrzymanie centralnych instytucyi prawodawczych, własnej kancelaryi Najjaśniejszego Pana, rady ministrów, ministeryum spraw zagranicznych, wojny, marynarki, kontroli państwa, centralnego zarządu taryf kolejowych.

Art. *16*-ty określa sposób obrachunków między skarbem Królestwa i państwa.

Art. *17*-ty. Na własność skarbu Królestwa przechodzi należący obecnie do skarbu państwa w obrębie kraju ma-

Bańki mydlane.

Droga Pani!

Czy Pani wie, co to jest miłość? Nie mówię tutaj o miłości erotycznej — tę Pani z pewnością masz — ale o tem umiłowaniu jakiejś wielkiej i potężnej idei, która może się nazywać Pięknem, Prawdą, Dobrem, Ojczyzną, — wogóle syntezą tego wszystkiego, co poncza serca ludzi szlachetnych. Znasz Pani taką miłość? Wszak jesteś Polką?

Miłość taka napełnia zawsze serca ludzi wielkich, takich, którzy stwarzają dzieła nieśmiertelne, których kości naród składa w Panteonie narodowym, przed których duchem ludy się korzą.

I takie samo umiłowanie wznieca w sercach ludu cześć dla owych bohaterów i geniuszów, cześć i miłość graniczącą z uwielbieniem.

Mówię o tem dla tego, ponieważ czytałem niedawno w pewnem bardzo znakomitem dziele, traktującem o historyi kultury u ludów greckich, że Grecy bardzo poważali i czcili swoich myślicieli, filozofów, artystów i poetów. Między innemi czytałem opis uroczystego obchodu narodzin filozofa Pytagorasa. Obchód ten urządziło miasto greckie Idiotopolis. A oto dosłowny przekład owego opisu, jaki czytałem w znakomitem dziele, z którego kartę tytułową niestety wydarto:

„Już kilka dni naprzód obiegali po mieście niewolnicy i rozdawali plakaty z portretem Pytagorasa opatrzone zaproszeniem na uroczysty obchód narodzin znakomitego męża.

Nareszcie nadszedł ów dzień...

Mężowie i niewiasty greckie zebrały się w Teatrum Dyonizosa. Pierwsze ławy zajęli najprzedniejsi mężowie miasta Idiotopolis — ludzie znani z rozumu, wpływowi przez swoje bogactwa, albo i długi. — Dalsze rzędy miejsc zajął plebs podlejszy, potocznie inteligencyą i stanem średnio-mieszczańskim zwany — zaś paupry, którzy tylko mogli małego obola wpłacić, stać musieli przy drzwiach. A gdy się już wszyscy zebrali, weszli w środek koła lutniści i wieszczbiarze, którzy śpiewali sławę zmarłych bohaterów. Zaczem powstał pierwszy archon miasta, imieniem Aperykles, i powiedział trzy słowa mądre. Lud słuchał i czekał co dalej będzie.....

Aliści weszła do środka harfiarka, imieniem Magwozdya, która aczkolwiek bardzo szlachetnego pochodzenia, przecież i muzyką nie gardziła, owszem często brała do ręki gęślę lub gitarę i grała — czasami do tańca krwistym młodzieńcom i rozkosznym dziewczętom — a czasami na obchodach narodowych grywała pieśni żałobne lub tańcyała koturnowe mazurki. Tak też i teraz, kiedy lud cały miasta Idyoto-

jątek ruchomy i nieruchomy, drogi żel. skarbowe, kapitały, prawa z wyjątkiem majątku dworu, ministeryum wojny i marynarki.

Art. *18*-ty. Najwyższą instancyą sądową kraju jest senat Królestwa Polskiego w Warszawie. Dalej następuje wyszczególnienie zakresu kompetencyi senatu.

Art. *19*-ty. Cała procedura w instytucyach prawodawczych, sądowych, administracyjnych i szkólnych, odbywa się w języku polskim; język polski jest też wykładowym w szkołach rządowych. Korespondencya z instytucyami ogólno-państwowemi odbywać się będzie w języku rosyjskim. Ustawy, określające ustrój wewnętrzny Królestwa, zabezpieczą prawa językowe ludności litewskiej i małoruskiej w instytucyach sądowych, administracyjnych i innych publicznych, oraz w szkołach rządowych. Prawa języków niepolskich w szkołach prywatnych i w kościele nie ulegają żadnym ograniczeniom. Rosyanie mają prawo zwracać się w języku rosyjskim do wszystkich instytucyi administracyjnych i sądowych i żądać w tym języku odpowiedzi i dokumentów. Dla ludności rosyjskiej urządzone zostaną osobne szkoły niższe i średnie.

Art. *20*-ty. Ogólne gwarancye wolności obywatelskich i politycznych rozciągają się na Królestwo.

Art. 21-szy. W reprezentacyi ogólno-państwowej mieszkańcy Królestwa uczestniczą przez przedstawicieli wybranych na tych samych podstawach, co w Cesarstwie.

Art. *22*-gi określa skład komisyi, która ma rozstrzygać spory co do kompetencyi instytucyi odrębnych Królestwa i ogólnych państwa; proponuje 12 członków sejmu i 12 izby.

Art. *23*-ci. Bez zgody sejmu Królestwa żadne zmiany ustawy niniejszej nie są dopuszczalne.

Art. *24*-ty. Aż do wydania przez sejm osobnej ustawy o organizacyi wewnętrznej administracyi Królestwa, Królestwo, rządzone będzie na podstawie osobnej ustawy tymczasowej o stosowaniu ustawy obecnej.

Walne zebranie delegatów Związku Towarzystw Przemysłowych.

W ubiegłą niedzielę przed południem odbyło się na sali Domu Katolickiego walne roczne zebranie delegatów Związku Towarzystw Przemysłowych, na które stawił się nadzwyczaj pokaźny zastęp delegatów, reprezentujących Towarzystwa Przemysłowe z całego niemal Księstwa, Berlina, Wrocławia i Prus Zachodnich. Ogółem reprezentowanych było Towarzystw związkowych 82 przez 113 delegatów i 2 Towarzystwa nie należące jeszcze do Związku przez 5 delegatów. Kilka Towarzystw związkowych z prowincyi i, co najwięcej uderzało, niektóre Towarzystwa z najbliższych okolic Poznania, jak Towarzystwo Przemysłowe z Główny, Żegrza i Starołęki, niestety żadnego nie wysłały delegata.

Głównem zadaniem zebrania było powzięcie uchwały względnie decyzyi w sprawie przymusowych egzaminów mistrzowskich czyli w sprawie projektu do prawa, dotyczącego zmiany ordynacyi procederowej.

Hasłem „Szczęść Boże“ zagaił posiedzenie punktualnie o godz. pół do 11-tej prezes Związku, pan mecenas *Czypicki* z Koźmina, witając krótkiem przemówieniem przybyłych delegatów i obecnego posła *p. Napieralskiego, jako urzędowego reprezentanta Koła Polskiego.*

Zanim przystąpiono do porządku dziennego, zabrał głos szanowny nasz poseł dając wyraz swemu zadowoleniu, że właśnie jemu przypadł zaszczyt reprezentowania Koła Polskiego w zebraniu. Wysyłając swojego reprezentanta, chciało zadokumentować, że nie polegając jedynie, jak dotychczas specyalnie, na obronie praw naszych w dziedzinie religijno-narodowej, odtąd pracę swą zwrócić chce w większej mierze ku podniesieniu naszego stanu średniego na polu socyalno-ekonomicznem. Zmiana taka jest konieczną ze względu na obecne stosunki ogólno-ekonomiczne, gdyż właśnie na tem polu główna rozgrywa się obecnie walka.

Zebrani wyrazili naszemu posłowi za udział jego w zebraniu i przemówienie uznanie swe hucznemi oklaskami, poczem przystąpiono do porządku dziennego.

Protokółu z ostatniego walnego zebrania z dnia 6-go maja 1906 roku nie odczytano, gdyż umieszczony on już był w „Przemysłowcu“.

Przyjęcie kilkudziesięciu nowych towarzystw, które w roku ubiegłym do Związku się zgłosiły, potwierdzono jednogłośnie.

Ze sprawozdania zarządu Związku, wygłoszonego przez prezesa Związku

---

polis zgromadził się w Teatrum Dyonyzosa, aby uczcić wielkiego myśliciela, i oczekiwał wielkich i poważnych rzeczy — ujrzał nagle Aperyklesa prowadzącego na sznurku Magwozdyę. Magwozdya stanęła i pojrzała na tłum. Oto przed nią nędzny tłum i głupi tłum, który nic nie wie i nic nie rozumie.

— Może się i na mojej muzyce nie pozna, — myśli Magwozdya.

I pojrzała na tłum okiem wyniosłej pogardy pełnem......

I uderzyła w struny skacząc na stołku, podnosząc ręce wysoko w górę, jak owi feniccy tancerze, którzy grywają w tamburino i skaczą i tańczą taniec świętej Megalomanii.

Tłum zdziwił się wpierw — nie zrozumiał związku między Griegiem a filozofem greckim — tak samo jak trudno dopatrzeć się podobieństwa albo logicznego powiązania między Kankanem a marszem żałobnym, później już nie poznano naszego Griega.

Lecz jeszcze później, kiedy wyszedł sędzia popisów i ofiarował Magwozdyi wieniec wawrzynu — ścisnęło się ludowi biedne jego serce...

— Więc jakże czyżeśmy przyszli uczcić Pytagorasa, naszego herosa, czyli też poto, aby padać na twarz przed harfiarką? — szeptano sobie z ust do ust.

— Czy to na cześć Magwozdyi urządzono dzisiejszą uroczystość?

Wystąpił wprawdzie później pewien młody kapłan i mówił do ludu długo i serdecznie — ale nie wszyscy go zrozumieli — za wielu było takich, dla których główną atrakcyą była Magwozdya.

Ten jej występ na obchodzie uroczystym Pytagorasa wsławił imię harfiarki.

O Pytagorasa mało pytano, i mało się o niego troszczono w smutnego widoku mieście greckiem Idiotopolis.“‘“

O tak Pani!

Piosenki świata zaczynają się fałszywym akordem — a kończą pęknięciem struny lub stłuczeniem harfy...

Czasy nasze mają dziwne lekarstwo na chorobę smutku — poezyę...

To też my tak często poddajemy się poezji — snowi...

My na miedzy, co dzieli dwa łany,
Nasz i obcy, w wierzb płaczących cień
Zapadliśmy snać w sen nieprzespany
Usnęliśmy snać rychło znużeni,
Na tej miedzy, co dzieli dwa łany,
Nasz i obcy, w wierzb płaczących cieni....

A jeżeli się kiedy z tego snu zerwiemy, to na to — by spojrzeć w słońce i od nadmiaru blasku załzawić sobie oczy. Możemy udawać w ten sposób żeśmy — nie ślepi....

Prawdzic.

dowiedzieliśmy się w głównym zarysie, co następuje:

Do związku należy obecnie 110 towarzystw. W ubiegłym roku wstąpiło do niego 47. Liczby członków sprawdzić dla rozmaitych przyczyn nie było można. Do nich, należy i ta, że sprawozdania nadesłały tylko 72 towarzystwa. Na 40—50 000 rzemieślników polskich zorganizowaną jest zaledwie 18 część.

Pan Filipowicz, administrator „Przemysłowca,“ zdawał szczegółowe sprawozdanie stanu finansowego tego pisma, i to za rok od 5-go maja 1906 do 26-go kwietnia 1907. „Przemysłowiec“ dotąd się nie opłaca. Jest jednak nadzieja, że już w niezadługim czasie rozchody zupełnie zrównoważą się z dochodami. W roku zaprzeszłym bowiem musiała kasa związkowa dopłacić do utrzymania tego pisma niespełna 800 marek, w roku ubiegłym osięgnął niedobór już tylko sumę 414 marek i 72 fenygów.

Co do sprawy ustawy normalnej, zaproponował prezes, aby walne zebranie wybrało z łona swego komisyę siedmiu, któraby sprawę tę zbadała i przedstawiła następnie walnemu zebraniu. Po długiej i obszernej debacie pro i contra wniosek skreślono z porządku obrad, postanawiając sprawę tę odłożyć jeszcze do następnego roku.

Nadzwyczaj żywa dyskusya wywiązała się nad kwestyą przymusowego abonowania „Przemysłowca“ po zniżonej cenie, przedstawioną przez zarząd. Wniosek ten poparli gorąco niektórzy delegaci towarzystw z prowincyi. Sprzeciwiał mu się najżywiej Poznań. Ilość członków towarzystw w mieście, abonujących organ związku, wynosi tylko 3 procent, na przedmieściach 7 procent, na prowincyi natomiast dosięga wysokiej stopy procentowej. Pp. Lenartowski z Wągrówca i Gomerowicz z Grudziądza bardzo trafnie uzasadniali potrzebę przymusowego abonowania „Przemysłowca,“ przeciw czemu przemawiał p. Stefan Chociszewski. Ostatecznie wniosek ten upadł.

Przy omawianiu sprawy przymusowych egzaminów mistrzowskich stawił p. dr. Hącia następującą rezolucyę:

Walne zebranie delegatów Towarzystw Przemysłowych zgadza się na projektowaną reformę egzaminów mistrzowskich, jeżeli

1) wpływ władzy przy egzaminach i wyborze egzaminatorów usunięty będzie,

2) jeżeli niedostateczna nieznajomość języka niemieckiego nie będzie powodem do niezłożenia egzaminu,

3) jeżeli przepisy przejściowe będą jak najswobodniejsze.

Wniosek ten przyjęto jednomyślnie.

W sprawie kilku innych wniosków, zgłoszonych i przedłożonych, toczyła się żywa bardzo dyskusya. Uchwał nie powzięto.

Po przyjęciu powyższej rezolucyi oświadcza poseł Napieralski, że Koło Polskie do niej się zastosuje, a mianowicie, jeżeli plenum parlamentu będzie za przyjęciem rezolucyi do nowego prawa, natenczas Koło głosować będzie za wnioskiem, gdy jednak plenum się nie zgodzi na to, natenczas Koło nie będzie za ustawą głosowało.

Długotrwałą dysputę zakończono trzykrotnem „Niech żyje“ na cześć posła.

Zebranie starostów Straży.

Na ostatniem walnem zebraniu Straży zmieniono ze względów praktycznych naczelną władzę organizacyjną o tyle, że w miejsce dotychczasowego 23 członków liczącego zarządu głównego, stworzono zarząd główny składający się z osób tylko *5*, które prawnie odpowiedzialne są za działalność władzy organizacyjnej, a obok tego t. zw. *radę*, do której należeć ma *18* osób.

Obecnie, na niedzielnem zebraniu starostów, przystąpiono do ukonstytuowania dwóch wspomnianych władz. Do *zarządu głównego* obrano pp. prezesa Kościelskiego, wiceprezesa dr. Niegolewskiego, sekretarza dr. Mieczkowskiego i skarbnika Pfitznera. Piątego członka ma zarząd kooptować, ponieważ proponowany p. mec. Woliński urzędu nie przyjął. Do *rady* powołani zostali pp. Brodnicki, szambelan Cegielski, dr. Alfred Chłapowski, Chociszewski, Cichocki, książę Czartoryski, Dobrowolski, dr. Gantkowski, Górski, radca dr. Mizerski, Z. Pluciński, Posadzy, Rose, Rydlewski, dr. Z. Seyda, dr. M. Seyda, Smiśniewicz, Stolpe. Pan dr. Kubacki nadal urzędu przyjąć nie chciał.

Następnie toczyła się obszerna dyskusya na temat *reorganizacyi i decentralizacyi* Straży.

Pan *Krysiak* wskazuje na błędy organizacyjne, przemawia za przyznaniem urzędnikowi biura takiej pensyi, któraby umożliwiła mu poświęcenie wszystkich swych sił wyłącznie Straży, podnosi potrzebę większej agitacyi na rzecz kasy. Mówca przedkłada projekt, wedle którego zbieranoby składki przy pomocy znaczków, wlepianych w książeczkę legitymacyjną. Z oburzeniem potępia tę część obywatelstwa ziemskiego, która z niechęci osobistej lub ze względów partyjno-politycznych Straż bojkotuje. Do ostatnich wywodów dorzuca p. *Bogdański* kilka ostrych uwag, zalecając wywarcie moralnego nacisku na sfery apatyczne. W podobnym duchu przemawia p. *Goncerzewicz.*

Pan *Kościelski* zaleca pogłębienie pracy, oparcie jej na jak najszerszych chętnych masach, odradzając od urządzenia krucyaty przeciwko tym, którzy od Straży stronią i pośrednio ją nawet zwalczają. Pan dr. *Kubacki* gani niecnoty ospałej części wyższych sfer, które czasami pracę wprost paraliżują, pociesza natomiast zgromadzenie, że coraz to tężsi nowi szermierze rekrutują się z warstw niższych, a nawet najniższych.

Co dotyczy decentralizacyi jako takiej, przestrzegał przed słabemi jej stronami p. *Krysiak;* za znanym projektem komisarzy poznańskich przemawiali p. *Smiśniewicz* i p. *Kościelski.* Ostatecznie postanowiono: decyzyę odłożyć do umyślnie mającego się zebrać zgromadzenia w jesieni, zasięgnąć opinii komisarzy; zastanowić się nad tem, czy nie byłoby wskazanem, decentralizacyę przeprowadzić na razie tylko aż do powiatów (propozycya p. dra *Kubackiego*); w razie zgodzenia się na decentralizacyę, rozpocząć oględnie na próbę w jednym, lub w dwóch komisaryatach (rada p. *Smiśniewicza*).

W sprawie reformy zbierania *składek*, zgodzono się po przemówieniach pp. radcy dra *Mizerskiego, Pfitznera* i *Plucińskiego* ze Swadzimia na wyżej wspomniany projekt p. *Krysiaka.*

Pan dr. *Jaworski* zaznaczył, że wkrótce zostanie, zgodnie z życzeniem ostatniego walnego zebrania, rozesłany *kwestyonaryusz* celem stwierdzenia, ilu jest *członków płacących*, a więc rzeczywistych Straży. Mówca prosi, by tą sprawą energicznie zajęli się starostowie i komisarze. Do punktu tego dorzucili jeszcze kilka uwag pp. *Smiśniewicz*, profesor *Badura* i *Stolpe.*

Macierz Polska

Sprawozdanie z działalności Macierzy Polskiej i Komitetu fundacyi im. Tadeusza Kościuszki za r. 1906.

Skład członków Zarządu Fundacyi Macierzy Polskiej pozostał w roku 1906 niezmieniony.

Urząd *Kuratora* piastował Marszałek krajowy JE. *Stanisław hr. Badeni.*

W *Radzie Nadzorczej* zasiadali JE.

Najprzewielebniejszy ks. Arcybiskup *Józef Bilczewski* i książę *Andrzej Lubomirski.*

Przewodniczył *Radzie Wykonawczej* prof. dr. *Finkel,* zastępca przewodniczącego był członek Wydziału krajowego i zastępca marszałka dr. *Tadeusz Pilat,* w skład zaś Rady wchodzili jako członkowie: pp. prof. dr. *Kazimierz Miczyński,* adwokat krajowy i poseł na sejm dr. *Tadeusz Skałkowski,* Najprzewielebniejszy ks. arcybiskup *Józef Teodorowicz,* prof. dr. *Ignacy Zakrzewski* i radca szkolny c. k. inspektor krajowy *Mieczysław Zaleski.*

W obradach Rady Wykonawczej brali udział członkowie komitetu im. Kościuszki dyrektor *Jan Solewski i Korneli Jaworski.*

Sekretarzem Macierzy Polskiej był prof. dr. *Konstanty Wojciechowski.*

Czynności administratora pełnił p. *Józef Bałaban.*

Rada Wykonawcza stwierdza z uczuciem szczerej radości, że praca jej znajduje coraz żywszy rozgłos w najszerszych warstwach społeczeństwa polskiego, czego objawem jest wzmagający się z roku na rok popyt na wydawnictwa Macierzy. W roku 1906 był on szczególnie znaczny, na co wpłynęło niewątpliwie również zniesienie cenzury na wydawnictwa Macierzy w Królestwie polskiem. To też przeszło *pięćdziesiąt sześć tysięcy* egzemplarzy naszych wydawnictw rozeszło się w roku ubiegłym między lud polski — cyfra zbytu, jakiej dotychczas nie oglądano w najszczęśliwszych latach rozwoju Fundacyi. Rada Wykonawcza czyniła ze swej strony wszystko, by to ożywione zajęcie się ludu polskiego czytelnictwem podnieść. Starała się więc dawać dziełka treści najrozmaitszej, ale przedewszystkiem z zakresu t. zw. „lektury pożytecznej", książki zatem, któreby spełniały rolę wzorowych poradników gospodarczych, uczyły przetwarzania surowych produktów, pouczały o potrzebie przestrzegania zasad hygieny, powiadamiały o najnowszych wynalazkach, oddających człowiekowi niepomierne usługi. Obok tego przyjęła Rada Wykonawcza jako zasadę, by dziełka znów z zakresu „lektury przyjemnej" przejęte były gorącem uczuciem patryotycznem, a w ten sposób uświadamiały nasz lud pod względem narodowym. Nie wahała się też Rada Wykonawcza łożyć znacznych kosztów na ilustrowanie wydawnictw Macierzy, wiedząc, jak silnie do umysłu naszego wieśniaka przemawia rycina, jak objaśnia mu tekst i jak silnie wrywa się w pamięć.

O stałym rozwoju Fundacyi poucza zestawiona poniżej tabelka statystyczna z ostatnich lat czterech.

W *Bibliotece* Macierzy wyszło w roku 1906 pięć książek, t. j.:

1) *Rolnik wzorowy,* napisał dr. *K. Miczyński* [1]) z licznemi rycinami, wyd. 2.

2) *Lirnik mazowiecki Teofil Lenartowicz i jego utwory,* napisał *A. Mikulski,* z rycinami.

3) *O gruźlicy,* napisał *Dr. S. Domański.*

4) *Wiek pary i elektryczności,* napisał *Wl. Żłobicki,* z licznemi rycinami.

5) *Stanisław Staszic,* napisał *Dr. M. Reiter,* z rycinami.

W *„Wydawnictwach"* wyszły:

1) *Królowa Korony polskiej,* napisał *Wł. Bełza,* z rycinami, wyd. 3.

2) *Obrona Częstochowy,* napisał *Fr. Jaworski,* z rycinami.

3) *Wyrób win owocowych, powideł i chleba owocowego,* napisał *I. Froń,* z rycinami.

4) *Pan Tadeusz* (ze stereotypu).

5) *Encyklopedya Macierzy Polskiej,* zeszyt V i VI, wydanie drugie, z licznemi rycinami.

„Pana Tadeusza" wydała Macierz wraz z ostatniem odbiciem 120.000 egzemplarzy *(rok rocznie 5000 egz.).* Wydawnictwo Encyklopedyi zostanie w roku 1907 ukończone. Popyt na to dzieło jest znaczny.

(Dalsze jako mniej nas obchodzące opuszczamy. — *Red.)*

Ogółem wydała Macierz w r. 1906 z obydwóch funduszów, którymi rozporządza, książek 9 i 7 zeszytów (2 Encyklopedyi, 5 Polski) w ogólnej ilości *67.000* egzemplarzy. Rozeszło się wydawnictw z funduszu Macierzy *36,990,* z funduszu im. T. Kościuszki *19.217,* razem *56.207.* W porównaniu z rokiem ubiegłym wydała Macierz więcej o *9,000* egzemplarzy, rozeszło się wydawnictw o *15.675* egzemplarzy więcej.

Statystyka wydawnictw Macierzy z obu funduszów z ostatnich lat *4* przedstawia się w sposób następujący:

Rok	Ilość wydanych			Wybito egzpl.	Rozeszło się egzpl.
	książek	zeszytów	razem		
1903	9	—	9	33.000	32.974
1904	7	2	10	37.000	7.190
1905	7	6	13	58.000	40.532
1906	9	7	16	65,000	56.207

Od początku istnienia Macierzy Polskiej wybito *855.570,* rozeszło się *765.911* egzemplarzy wydawnictw.

[1]) Autor odstąpił Macierzy wydanie drugie znacznie przerobione i rozszerzone zupełnie bezinteresownie.

Za obowiązek poczytujemy sobie wyrazić na tem miejscu szczerą podziękę Szanownym Redakcyom pism polskich, które stale pomieszczały bezinteresownie wszelkie ogłoszenia Macierzy Polskiej, pomagając w ten sposób instytucyi do spełniania jej narodowych zadań.

We Lwowie w kwietniu 1907.

Dr. Ludwik Finkel, przewodniczący.

Dr. Konst. Wojciechowski, sekretarz.

Ostatnie wiadomości.

Konstytucya 3-go maja.

U braci naszych po za kordonem weszło w zwyczaj, że w dniu uroczystym rocznicy konstytucyi Trzeciego Maja całe społeczeństwo składa groszowe datki na najpilniejsze potrzeby narodowe. Na wspomnienie wiekopomnych chwil nie uchyla się nikt, ani możny, ani ubogi — od tego podatku narodowego, ale spieszy złożyć daninę na ołtarzu ojczyzny w imię i na znak tej jedności, która wszystkich nas łączyć winna.

Dzisiaj i my zwracamy się do społeczeństwa wielkopolskiego, zjednoczonego w „Straży", z gorącą prośbą o grosze na rzecz naszego towarzystwa, a tem samem i całej naszej dzielnicy. Każdy, najmniejszy datek z wdzięcznem przyjmując sercem zobowiązujemy się obrócić go na najwięcej palące potrzeby ludu wielkopolskiego. Czuj duch!

Zarząd „Straży"

Józef Kościelski, Felicyan Niegolewski, Władysław Mieczkowski, Stanisław Pfitzner.

Ruch w Towarzystwach.

— **Czuj duch.** *Wiec Straży* odbędzie się w *Boleszynie* w Prus. Zach. w niedzielę dnia 5-go maja na sali p. Macikowskiego o godz. 3-ciej po poł.

Na porządku obrad: 1. Sprawozdanie z rocznej czynności i dalsza dążność „Straży". 2. Położenie nasze społeczne i cele obronne, przedstawi p. Formański, redaktor „Pielgrzyma". 3. Zapis członków. 4. Wolne głosy o wzajemnej obronie. 5. Założenie towarzystwa ludowego parafialnego.

O liczny udział prosi rodaków miejscowych i z okolicy

Bol. Bardzki, starosta pow.

* **Drezno.** Towarzystwo Polsko-Katolickie p. o. św. Wojciecha urządza ku uczczeniu dziesiątej rocznicy istnienia swego w niedzielę dnia 5-go maja r. b. o godz. 7-mej wieczorem na sali Walhalla Freibergerstr. 69 wieczornicę, połączoną z przedstawieniem amatorskiem i zabawą taneczną.

Szanownych Rodaków bawiących w Dreźnie i okolicy zapraszając jak najuprzejmiej, uprzedzamy, że będzie odegraną sztuka bardzo zajmująca.

W imieniu Towarzystwa

Zarząd.

* **Mülheim** *nad Renem. Wielki* wiec „Zjednoczenia zawodowego polskiego“ odbędzie się w czwartek w Wniebowstąpienie Pańskie, 9 maja o godz. 2 po południu na sali Rebholza, Regentenstr. nr. 9. Na wiec ten zwracam rodakom Mülheimu, Kolonii i okolicy szczególną uwagę, ponieważ przemawiać będą mówcy zamiejscowi, dlatego upraszam rodaków o udział jak najliczniejszy. — Z polecenia „Zjednocz. Zaw. Polskiego“

Jan Dymek.

Wiadomości.

* **Sensacyjny i zasadniczy proces w Pile.** W ubiegły poniedziałek z rana o godzinie w pół do 9-tej rozpoczęła się ustna rozprawa w Pile w procesie bardzo zajmującym, który obchodzi szerszy ogół społeczeństwa. Na ławie oskarżonych pilskiej izby karnej z powodu rzekomego poszkodowania zajęli miejsce panowie v. Riesen i *Marcin Biedermann z Poznania.* Poszkodowania dopatrzyła się prokuratorya w tem, że od Niemca p. Klövekorna Niemiec pan von Riesen nabył Ostrówek, oświadczając rzekomo, że majątek kupuje dla siebie. Następnie jednak sprzedał go zaraz panu Biedermanowi.

P. Klövekorn twierdzi, że panu Biedermannowi jako Polakowi nie byłby nigdy majątku sprzedał, a już przynajmniej nie za uzyskaną cenę.

Prokuratorya uchwyciła się tej sprawy i dopatrzyła się w owem działaniu poszkodowania p. Klövekorna, które spowodował p. v. Riesen, a p. Biedermannowi zarzuciła, że dał pomoc do tego przez udzielenie pieniężnej pożyczki na kupno.

Ostrówek znajduje się obecnie w posiadaniu p. Prądzyńskiego.

Proces skończył się dopiero w nocy.

Prokurator dopatrywał się w procesie rzekomego oszustwa i wniósł dla p. v. Riesena o *4 miesiące więzienia*, a dla p. *Biedermanna*, który już osiem razy był karany za sprawy polityczne, o *pół roku więzienia!*

Sąd jednak oskarżonych uwolnił, nakładając koszta kasie państwowej.

Proces był już z tego punktu widzenia ciekawym, że rzeczy takie zdarzają się i po stronie przeciwnej.

Obrońcą p. v. Riesen był adwokat dr. Mamroth z Wrocławia.

Bliższe szczegóły z tego zasadniczego procesu podamy w następnym numerze.

* **O rzekome** *rozszerzanie odezw wzywających do strejku szkólnego* toczył się w zeszły piątek przed poznańską izbą karną proces przeciwko p. *Jadwidze Wrzesińskiej z Poznania. Prokurator wniósł o 200 marek kary. Sąd wydał wyrok uwalniający, a koszta procesu nałożył kasie państwowej.*

* **Procesy prasowe.** Redaktora „Postępu,“ p. *Juliana Trochę*, odsiadującego od kilku tygodni karę więzienną, skazano znowu na 150 marek kary za artykuł o strejku szkolnym. — *Pana Józefa Szmyta*, redaktora „Wielkopolanina“ skazano w jednym procesie o strejk szkolny na 100 mrk. kary, a w drugim na 200 mrk. kary. — *Pana Szpotańskiego,* redaktora „Gońca Wielkopolskiego,“ oskarzonego za artykuł p. t. „Papież i strejk“ sąd uwolnił od winy i kary. Prokurator wniósł o 6 tygodni więzienia. — „Gazeta Grudziądzka“ donosi, że prawie wszystkim jej redaktorom wytoczył prokurator nowe procesy.

* **Rewizya** wyroku w procesie lubawskim nastąpi przed sądem Rzeszy w Lipsku dnia 28-go czerwca. Gdyby rewizyą odrzucono, siedmiu księży polskich odsiadywać będzie każdy miesiąc więzienia.

* **Ks. proboszcz Piotrowicz** z Gniezna zaczął w ubiegłą sobotę odsiadywać w więzieniu centralnem we Wronkach kilkomiesięczną karę więzienną za strejk szkolny.

* **Policya wyrwała krzyż** *z grobu polskiego dziecka* jedynie dlatego, że na krzyżu tym znajdował się polski napis. Tak postąpiła policya pruska w Holsterhausen (we Westfalii) w 20-tym wieku po narodzeniu Chrystusa.

Polski robotnik, który krzyż ten kazał postawić na grobie swego dziecka, wniósł przeciw pruskiej policyi skargę. To chyba pomoże!

* **Wędrówka** *niemieckich nauczycieli do dzielnic polskich.* Do gazet niemieckich z Dyseldorfu donoszą, iż według rozporządzenia ministra oświaty wyjeżdża 1-go maja r. b. 50 młodych nauczycieli z obwodu rejencyjnego dyseldorfskiego na wschód, by tam objąć posady; prawdopodobnie do W. Księstwa Poznańskiego.

* **Z teatru.** W ubiegły czwartek odegrano z powodzeniem na benefis pani *Julii Stępowskiej* komedyą M. Bałuckiego p. t. *„Sprawa kobiet.“*

W sobotę ukaże się na naszej scenie piękne dzieło sceniczne G. Hauptmana *„Furman Henszel.“* W sztuce tej bierze udział cały niemal personał teatralny. Ceny zwyczajne.

* **Odezwa.** Celem zjednoczenia wszystkich istniejących u nas katolickich towarzystw dobroczynnych w związek, a stąd powiększenia i usystematyzowania dobroczynnej pracy, odbywały się kilkakrotne narady żeńskiego i męskiego Towarzystwa św. Wincentego w naszych dyecezyach.

Wyniki tych obrad ściślejszych pragniemy przedłożyć i omówić publicznie. W tym celu zapraszamy towarzystwa dobroczynne wszelkiego rodzaju oraz wszystkich, którzy pracą dobroczynną się zajmują i interesują, *na zebranie, dnia 17-go maja o godz. 4-tej po południu na sali Domu Katolickiego w Poznaniu* (*św. Marcin 69*).

Poznań, dnia 24. kwietnia 1907.

Towarzystwo żeńskie św. Wincentego a Paulo.

Towarzystwo męskie św. Wincentego a Paulo.

* **W sprawie** *pisowni imion i nazwisk* otrzymujemy z biura „Straży“ następujący komunikat:

W sprawie zapisywania imion i nazwisk w urzędzie stanu przypominamy społeczeństwu polskiemu dwie zasady, których ściśle trzymać się winno:

1) Należy dawać dzieciom imiona takie, których urzędnik stanu na wrogi nam dzisiaj język niemiecki przekręcić nie może. W każdym domu powinien znajdować się kalendarz polski, w którym zazwyczaj zawarty jest spis imion słowiańskich; z niego zatem rodzice odpowiednie imiona wyszukać mogą.

2) Przed podaniem potrzebnych danych do protokółu, należy zapytać się urzędnika stanu, czy nazwisko żeńskie zapisać chce z polską końcówką *„ka.“* Jeżeli urzędnicy stanu, którzy mają wyraźny nakaz od ministra, aby ludności polskiej w polskich dzielnicach pod tym względem trudności nie robili, oświadczą, że do życzenia zapisującego się nie zastosują, należy w tej chwili lokal urzędu stanu opuścić.

Zaleca się także, aby zapisu nie polecać akuszerce, ale ojciec sam winien od pierwszej chwili czuwać nad godnością polskiego swego dziecka.

Biuro „Straży“
Dr. Tadeusz Jaworski.

* **Baczność** przed agentami kolonizacyi! Z Biura „Straży“ otrzymujemy, co następuje:

We wrześniu 1906 r. był urzędnik komisyi kolonizacyjnej, radca regencyjny Köpel, w Bydgoszczy i dał Ludwikowi Kronheimowi z Bydgoszczy i będącemu u tegoż Adolfowi Powidzerowi z Poznania, ul. Wiktoryi nr. 1., polecenie do nabywania polskich gospodarstw w Kołaczkowie pod Wrześnią przez t. zw. w żargonie kolonizacyjnym: „polnische Schieber.“

Powidzer w osobie Augusta Wiśniewskiego z Gniezna takiego „Schiebera“ wynalazł i ten dla kolonizacyi kupił od p. Kubiaka gospodarstwo tegoż 80 morgowe w Kołaczkowie.

* **Zabawa** *na rzecz ubogich, żłóbka i budowy domu.* Ufamy, że trzy powyższe cele zgromadzą liczną publiczność na zabawę, połączoną z grą fantową, którą urządzamy 9-go maja r. b. na wzgórzu św. Łazarza. Wskutek srogiej i długiej zimy, potrzeby ubogich były większe niż zwykle, a utrzymanie żłóbka bardzo kosztowne. To też nie zdołaliśmy w tym roku do funduszu na budowę domu już zebranego, nic dołożyć. Cała nadzieja nasza w zabawie, którą postaramy się możliwie urozmaicić. Bliższe szczegóły podamy później, lecz dziś już prosimy szanowną publiczność, by zechciała uwzględnić troistą potrzebę naszą, tem więcej, że samo Wzgórze św. Łazarza zapewnia miły w niem pobyt.

Towarzystwo Pań św. Wincentego a Paulo na św. Łazarzu.

* **Wycieczka pań do Krakowa.** Szanown. Czytelniczkom donosimy, iż w końcu czerwca odbędzie się wspólna wycieczka pań do Krakowa na kurs wakacyjny przy uniwersytecie Jagiellońskim; pozatem odbywać się będzie wspólne zwiedzanie pamiątek, dzieł sztuki, oraz okolic Krakowa, a w końcu lipca nastąpi wyjazd do Zakopanego dla odpoczynku i zwiedzenia Tatr.

Plan wykładów z dziedziny językoznawstwa, historyi, piśmiennictwa i przyrody ogłosimy, skoro będzie gotowy.

Wszelkich wyjaśnień udziela i zgłoszenia uczestniczek wycieczki przyjmuje p. *Zofia Sokolnicka* w Poznaniu na Piekarach nr. 16, II p. (Bäckerstr.)

Do wycieczki mogą przyłączyć się panie, tylko częściowo pragnące ko-

przystać z wykładów, oraz panie, udające się do Krakowa tylko celem zwiedzenia go lub obcowania wśród swoich.

* **Znany i szanowany** obywatel naszego grodu, kapitalista i weteran z 1848-go roku, p. *Jan Szulc*, liczący 68 lat, stał się naraz w podeszłym wieku niebezpiecznym poddanym pruskim dla tego, że się nie podpisywał „Schulz", lecz „Szulc". Rozpoczęły się więc śledztwa, procesy i t. d., które trwały dwa lata. Najpierw sąd ławniczy w Poznaniu zasądził dnia 20-go października 1905 p. S. na 150 mk. kary lub też cztery tygodnie aresztu właśnie za to, że się nie podpisywał po prusku *„Schulz"*, lecz po polsku „Szulc". Sąd ziemiański potwierdził na dniu 14-go grudnia 1905 wyrok sądu ławniczego, atoli kamergerycht w Berlinie zniósł pod dniem 12-go kwietnia 1906 r. wyrok poznańskiego sądu ziemiańskiego i przekazał sprawę temuż sądowi do ponownego rozpatrzenia. Sąd ziemiański w Poznaniu tym razem i to pod dniem 17-go stycznia r. b. wydał *wyrok uwalniający p. Jana Szulca od winy i kosztów.*

Sprawa powyższa jest najlepszym dowodem, że wytrwałość w obronie polskiego nazwiska pomyślny uwieńczyć skutek. Panu Janowi Szulcowi należy się w każdym razie uznanie, że nie stanął w połowie drogi i że sprawę przeprowadził przez wszystkie instancye.

* **W niedzielę,** *dnia 5-go maja* w uroczystość święta Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej, odbędzie się jak corocznie, msza św. w kościele Bożego Ciała o godz. 9-tej. Po nabożeństwie śpiew wspólny. O liczny udział w nabożeństwie uprasza

Grono Poznanianek.

* **Ślub.** W dniu 23-go kwietnia został w Kościelnem Popowie pobłogosławiony związek małżeński pomiędzy p. Janem Mrówczyńskim, współwłaścicielem składu obrazów i księgarni z Rawicza, a panną Maryą Olejniczakówną.

Aktu ślubnego dopełnił w asystencyi miejscowego proboszcza ks. M. Zajączkowski z Buku.

* **Potrzeba materyału!** W sprawach karnych, dotyczących obrazy majestatu prosi Biuro Informacyjne P. C. K. W. o spieszne nadesłanie wiarogodnego materyału dla użytku posłów naszych. Adres: Dr. Tadeusz Jaworski Poznań—Posen.

* **Brodnica,** dnia 30-go kwietnia 1907. Zebranie, w *celu założenia Towarzystwa ludowego* na Brodnicę i okolicę, zagaił w niedzielę dnia 28-go kwietnia około godziny 5-tej po południu na sali hotelu Rzymskiego p. M. Lipiński, staropolskiem pozdrowieniem Pana Boga.

Na przewodniczącego zebrania uproszono ks. prob. Doeringa, zastępcą tegoż wybrano p. M. Lipińskiego, sekretarzem p. Łęgowskiego, ławnikami pp. Orlewicza, Cybulskiego i Zacharskiego. Po ukonstytuowaniu biura przemawiał i udowodnił trafnie potrzebę Towarzystwa ludowego i jego błogie skutki dla naszej parafii p. Maryan Lipiński.

Na propozycyą ks. proboszcza założono: *„Towarzystwo ludowe na parafią Brodnicką pod wezwaniem św. Katarzyny"*, patronki naszej parafii.

Następnie przystąpiono do oboru Zarządu. Prezesem obrano jednogłośnie ks. prob. Doeringa, zastępcą p. St. Łęgowskiego, sekretarzem p. Wojciechowskiego, bibliotekarzem p. Sukowskiego, ławnikami: pp. Orlewicza, Bendykowskiego, Wł. Stawińskiego i K. Bielaka.

Obszerniejszą naukę o towarzystwach ludowych w całym katolickim świecie wygłosił ks. prob. Doering i wspomniał o działalności Ojca św. Piusa X w towarzystwach ludowych w Rzymie.

Co prawda dosyć późno przystąpiono w parafii Brodnickiej, liczącej około siedem tysięcy dusz, z powodu ciągłych przeciwieństw, do założenia towarzystwa; to źródło oświaty było dotąd ścięte mrozem, dzisiaj atoli życzy ks. proboszcz, aby Towarzystwo wkrótce zakwitło i wydało żniwo plenne i obfite.

Także przemawiał redaktor „Gazety Grudziądzkiej", p. Rakowski, zachęcając, aby wkrótce do Towarzystwa najmniej 500 członków przystąpiło i swą życzliwość wyraził okrzykiem trzykrotnie „niech żyje!" na cześć ks. prezesa i Towarzystwa.

Do Towarzystwa przystąpiło na razie tylko 60 członków, udział tak słaby był dla tego, iż zebranie miało się odbyć w nowo wybudowanym i pięknym lokalu p. I. W. Peto, jak w gazetach było ogłoszone, ale policya na to jak zwykle zezwolenia nie dała, a właściciele sal, innowiercy, już poprzednio swych lokali nam odmówili, aż w ostatniej chwili p. starosta Bardzki, przez energiczne wystąpienie swe, salę w hotelu Rzymskim uzyskał.

St. Ł.

* **Zwracamy** baczną uwagę na anons p. *W. Guzińskiego w Poznaniu*, który uczy chłopców bezpłatnie gry na skrzypcach.

* **Niezwykłe odznaczenie.** Znów niezwykłe odznaczenie spotkało firmę *B. Kasprowicz* w Gnieźnie, bo odebrała co dopiero na wystawie w Magdeburgu nagrodę honorową (srebrną muszlę) i złoty medal.

Wiadomości literackie.

* **Macierz Polska.** Niezwykłą książkę wydała Macierz. Jest to opowieść z r. 1831 „Spłacony dług". Autorką powieści jest Walerya Szalayówna. Powieść, napisana z siłą, brawurą, podbija czytelnika i nie dozwala mu odłożyć książki aż do ostatniej strony. Treścią jej losy bohaterskiego ślusarza-żołnierza, rozsnute na tle powstania listopadowego. Obraz bitew ma koloryt sienkiewiczowski, czytelnik widzi ludzi, ich ruchy, ataki wojsk, bohaterskie wysiłki i czyta opowieść z takim zapałem, z jakim autorka ją pisała. Książkę zdobią prześliczne rysunki Władysława Witwickiego, przepysznie wykonane. Cena książki (196 stron druku i 8 rycin) 1 kor. 20 hal.

Nasza ofiarność.

Na pokrycie kosztów agitacyi na Górnym Śląsku zebraliśmy razem 34 mk. 65 fen.

Kwotę tę odesłaliśmy komu należy i zamykamy składkę na ten cel.

* *

Na szkolne i książki dla biednego gimnazyasty kwartanera nadesłali: pp. Jan Such... 3 mk; Z. L. z pod Czekanowa 3 mk; Jan Bloch, mistrz krawiecki z Essen 5 mk. 5 fen; rodak z Drezna 33 mk; 5 fen. z następującym dopiskiem: „Dla biednego gimnazyasty przesyła potrzebne 33 marki na szkolne i książki, życząc z głębi serca, aby Bóg wychował go na chlubę i korzyść uciśnionego społeczeństwa naszego. Rodak z Drezna." N. N. z Żydowa 2 mk. 5 fen; L. Zielińska z Osia (Pr. Zach.) 5 mk; pani A. Łucka ze Stanisławowa w Galicyi 1 mk; Razem wpłynęło na cel powyższy 52 mk. 15 fen.

Kwotę tę doręczyliśmy komu należy i zamykamy składkę na ten cel.

* *

Dla biednych rodziców w Poznaniu: pani Wojciechowska z Górek dąbskich pod Królikowem 1 mk.

Nekrologia.

† Ś. p. *Marya Kierska*, dnia 16-go z. m. w Medyolanie. R. i. p.

† Ś. p. *Piotr Skowroński*, dnia 21-go z. m. w Kwieciszewie. R. i. p.

† Ś. p. *Józef Bizan*, dnia 23-go z. m. w Pleszewie przeżywszy lat 58. R. i. p.

† Ś. p. *z Nowickich I voto Błażejewska, II voto Piotrowska*, dnia 24-go z. m. w Stęszewie w 82-im roku życia. R. i. p.

† Ś. p. *Jan Kantecki*, dnia 29-go z. m. w Czerniejewie. R. i. p.

† Ś. p. *Katarzyna Józefiak*, dnia 27-go z. m. w 103 im roku życia w Berlinię. R. i. p.

† Ś. p. *Józef Moczyński*, były obywatel Chełmżyński, długoletni i gorący zwolennik „Pracy“, umarł dnia 24-go z. m. w Chełmży w 79-ym roku życia. R. i. p.

Od Redakcyi.

— Panu Piotrowi J. w Oleśnicy. — Było to chorobliwe uczucie pewnych osób, więc o sprawie tej nie warto pisać.

— Panu M. w Szubinie. — W niniejszym numerze zamieszczamy podobiznę Wincentego Pola, w następnym damy albumową illustracyę Karola Libelta i t. d.

— Panu A. J. G. w K. pod Trzemesznem. — „Polska pod obcem panowaniem“ wyjdzie z illustracyami w osobnem książkowem wydaniu, o czem Szan. Publiczność w swoim czasie zawiadomimy.

— Panu Szczepanowi W. w Berlinie. — Nie! Księdzu więźniowi imię Leon.

— Czytelnikowi „Pracy“ w Kruszwicy. — Czy w owym logogryfie (nr. 15) popełnił błąd autor lub też zecer dziś się sprawdzić nie da, gdyż manuskrypt zniszczony. W drugim przypadku ponosi winę autor.

Bądźmy ofiarni na cele oświaty!

Przy grach towarzyskich i zabawach, przy uroczystościach rodzinnych i publicznych, przy zapisach, zawsze i wszędzie pamiętajmy o przysporzeniu majątku

Tow. Czytelni Ludowych.

Kto swej mowy nie szanuje,
Ten sam sobie wróg —
Własną duszę w więzy kuje,
Niszczy, co dał Bóg.

Testament bankiera.

Z angielskiego tłumaczył M. P.

(Ciąg dalszy).

— Tak jest, i właśnie takie fałszywe przedstawienie rzeczy, polegające na prawdzie, bardzo są trudne do zwalczenia. Pozory są bezwątpienia przeciw mnie — nie dziwię się też wcale, że wszyscy mają mnie w podejrzeniu..... Tem więcej winien jestem wdzięczności pani za to, że wierzysz w moją niewinność!

— Tak, wierzę, i podziwiam odwagę pana! Nie zauważyłam jeszcze u pana cienia strachu co do wyniku tej sprawy!

— Ja się też nie boję niczego, ale gniewa mnie to, że wszystko zwraca się przeciw mnie! I jestem oburzony zmiennością ludzi i pragnieniem ich uwierzenia złemu!

— Rozumiem pana zupełnie, — odrzekła Felicya wstając — ale pociesz się tem, że większa część ludzi, gdy chodzi o sprawy osobiste, bardzo jest łatwowierną i to mianowicie wtenczas, gdy się wyjawiają rzeczy nadzwyczajne i nieprawdopodobne!

Po tych słowach wrócili oboje znowu na salę, na której odbywało się przesłuchiwanie świadków. Felicya usiadła na swem zwykłem miejscu, a łagodna jej i słodka twarzyczka promieniała taką radością, jak gdyby ją największe było spotkało szczęście.

Zawikłania.

Dalsze badanie świadków rozpoczęło się przesłuchaniem kucharki, Barbary Catron. Jej zeznanie było krótkie, lecz niezmiernie zabawne. Zapytona o wypadki dnia, poprzedzającego morderstwo, odpowiedziała:

— Ja nic wiem nic więcej nad to, co inni mówili. Moje miejsce jest w kuchni. Ja nie mogę — dodała z pogardliwem spojrzeniem na pokojówkę Kasię — chodzić po korytarzach, opierać się na miotłach i słuchać pod drzwiami! Ja muszę pracować!

— O czem to inni mówili?

— O czem? Przecie pan sędzia wie dobrze! O testamencie! I o treści jego!

— Jak mogła służba znać treść testamentu?

— Ano tego to już nie wiem! Ale wiem, że niektórzy ludzie mają dziwne zwyczaje!

Dalsze pytania wykazały, że w nocy, w której morderstwo zostało popełnionem, zbudził Barbarę jakiś szelest, podobny do zamykania bramy pałacowej.

— Słuchałam uważnie przez chwilę — mówiła Barbara, — lecz potem zdrzemnęłam się znowu. Szelest ten zbudził mnie po raz drugi, i wtedy zaciekawiona, wstałam i otworzyłam ostrożnie okno. Pokój mój leży na dole, porówno z trawnikiem. Zobaczyłam stangreta, stojącego nieco dalej z otwartemi ustami, zapatrzonego w okna pałacu. Wyglądał jak lunatyk i szeptał coś półgłosem do siebie. Chciałam zawołać na niego, aby się wynosił, lecz on poszedł sam.

— Wydawał ci się pijanym?

— Właściwie nie, ale on i po trzeźwemu jest trochę narwany i myślę, że nie można go robić odpowiedzialnym za wszystko, co mówi i czyni.

— Gdy usłyszałaś o morderstwie — przeszłaś zaraz do pokoju w wieży?

— Naturalnie! Rzuciłam wszystko i pobiegłam tam natychmiast.

— Zastałaś tam już wiele osób?

— O tak! Cała prawie służba była zgromadzona, czy kto inny był jeszcze, tego nie wiem. Byłam tak poważną, że się nie wiele oglądałam. Gdy odchodziłam, spotkałam pana Vhiteney.

— Wracając do kuchni? Spotkałeś jeszcze kogo?

— Nie, ale widziałam, nie będąc widzianą, panią La Grange, wychodzącą z pokoju jej syna i słyszałam, jak mówiła do niego, aby się spieszył i kazał sobie konia osiodłać, że chodzi tu o każdą minutę!

Na tem skończyły się zeznania Barbary, ważniejszem zaś o wiele było to, co powiedział stary Murzyn, ogrodowy, znany ogólnie pod imieniem „wuja Mojżesza.“ Jego białe włosy i postać wiekiem pochylona, nadawały mu wiele powagi i godności, chociaż był jeszcze dosyć żwawy i silny. Opowiadał wszystko z wielkim patosem, lecz nie mógł się czasem powstrzymać od dowcipnych uwag i wtedy jaśniała twarz jego przebiegłym, nieco złośliwym uśmiechem.

Jako dawniejszy niewolnik tytułował zawsze swego pana „massą,“ do innego tytułu nie mógł i nie chciał się przyzwyczaić. Sędzia znał go bardzo dobrze, tak samo jak i inni w sali zgromadzeni — wuj Mojżesz był osobistością nader wybitną i wszyscy bardzo starego murzyna lubili.

— No i cóż wuju Mojżeszu, — zaczął sędzia uprzejmie, — dawno już służysz w Chesnes?

— O panie, już od dwudziestu lat! Park i ogród to mój wydział! Massa często mówił, że nikt nie zna się na tem tak, jak ja!

— Przedwczoraj byłeś także zajęty w ogrodzie, jak zwykle, nieprawda?

— Cały dzień przepędziłem w parku! Miałem dużo do roboty, bo chciałem cały pałac przybrać kwiatami w dzień urodzin massy!

— Widziałeś kogo obcego wchodzącego do pałacu?

— Tak panie, dwóch — nie wiem kto to był, ale obydwaj wyglądali bardzo podejrzanie. Słuchaj kochany panie sędzio! Przed południem byłem bardzo pilny i pracowałem w ogrodzie. Angielscy panowie przechadzali się tu i tam, i potem przyszedł po nich pan sekretarz Skott. Właśnie skręcili ku pałacowi, gdy w platanowej alei ukazał się powóz. Nie zajechał jednak przed pałac, tylko stanął przed bramą i wysiadł z niego jakiś pan, oglądając się na wszystkie strony. Potem jednym skokiem prawie stanął w sieni. Ten pan nie podobał mi się. Pomyślałem sobie: trzeba na niego uważać, gdy wyjdzie z pałacu, ale miałem za wiele roboty z powodu urodzin massy — musiałem iść do szopy po narzędzia i tymczasem ten pan odjechał.

— Widziałeś go tak dobrze, że mógłbyś powiedzieć, jak wyglądał?

— Nie, panie sędzio, nie mogę tego powiedzieć, ale poznałem go jednak, gdy wieczorem przybył z innym jeszcze panem, którego widziałem po południu, zaraz po wyjeździe massy z angielskimi panami i paniami. Stałem przed główną bramą i przybijałem girlandy i spostrzegłem tam powóz. Myślę sobie — to znowu ten pan, co był przed południem i teraz będę mógł go z blizka dobrze obejrzeć gdy odjedzie. Nareszcie wychodzi z sieni pan, ale inny. Wysoki, tęgi, na oczach miał ciemne okulary.

Zbliżył się do powozu, wyjął jakiś długi surdut i powiedział dorożkarzowi, że ma wracać do miasta. On sam przerzucił surdut przez ramię i szedł pieszo. Bardzo mi się to dziwnem wydawało — ciemne okulary były mi podejrzane, ale może miał słabe oczy! Albo nie chciał ich pokazać!

Uważałem gdzie idzie. Najpierw szedł drogą do miasta, potem wrócił i skręcił na lewo, potem znikł. Wieczorem, po ukończeniu mej roboty, poszedłem znów w stronę pałacu i nagle ujrzałem przy bocznej bramie dwóch panów!

— O której mogło to być? — zapytał sędzia żywo.

Stary murzyn uśmiechnął się.

— Która była godzina, nie wiem, — rzekł, — ale po zachodzie słońca już było!

— Byli to ci sami mężczyźni, których widziałeś dnia poprzedniego?

— Tak, panie sędzio! Skryłem się za krzewami i słyszałem, że rozmawiali po cichu — potem jeden z nich poszedł do pałacu. W jasno oświetlonej sieni poznałem, że to ten sam, który już tu raz był, lecz gdy postąpiłem kilka kroków naprzód, aby mu się jeszcze lepiej przypatrzeć, zatrzaśnięto drzwi i ten drugi pan znikł, nie wiem gdzie, ale to był ten z niebieskiemi okularami. Wszystko to wydawało mi się bardzo dziwnem i podejrzanem. Najpierw chodziłem tu i tam, szukając pana w okularach, ale nie znalazłem go, pomyślałem więc, że uważać lepiej na tego, który z pałacu wyjdzie, w końcu zaś postanowiłem zameldować wszystko jednemu z panów. Pobiegłem więc ku bramie południowej i stanąłem jak wryty — brama bowiem otworzyła się i ten pierwszy pan wyszedł z panią La Grange. Słyszałem, jak mówił po cichu do niej, aby nie zapomniała o tem, że to w kontrakcie zapisane, że on wypełni to, do czego się zobowiązał, i żąda zapłaty. Pani La Grange odpowiedziała mu, że on dostanie swoje pieniądze, że ona gwarantuje mu za to. Więcej nic nie widziałem i nie słyszałem. Pomyślałem sobie, że nie potrzebuję tu ani stać dłużej, ani podglądać i podpatrywać i wróciłem do domu. Ale od tej chwili jestem bardzo smutny i wyrzucam sobie gorzko, że nie poszedłem do massy i nie powiedziałem mu o tych podejrzanych panach.

— Od kogo dowiedziałeś się o śmierci pana Mainwaringa?

— Od stangreta.

— Ależ on mówił, że właśnie od ciebie się o tem dowiedział!

— Nie, panie sędzio, on mi o tem oznajmił! Tego rana spieszyłem do szopy po narzędzia, bo dużo jeszcze miałem do roboty. Gdy przechodziłem koło stajni, odjeżdżał młody pan Walter konno, bardzo prędko. Stangret stał przed stajnią, spytałem go więc, dokąd młody pan jedzie tak rychło. On mi odrzekł na to, że do miasta, bo massa jest zamordowany.

— Wiesz, jak długo pan Walter bawił w mieście?

— Widziałem go wnet wracającego, ale potem zaraz znowu odjechał i wrócił na obiad dopiero!

Na tem skończyło się badanie starego murzyna.

Następny świadek, Walter La Grange, zeznał, że większą część dnia, poprzedzającego morderstwo, spędził poza domem, że nie był ani na śniadaniu, ani na obiedzie, i że dla tego nie wie, kto z obcych był w pałacu.

Wrócił wieczorem dopiero o wpół do jedenastej i poszedł zaraz do swego pokoju, nie troszcząc się o gości, siedzących na werandzie. Następnego dnia wbiegła matka nagle do jego sypialni i opowiedziała mu niezmiernie przerażona, że pan Mainwaring albo sobie w nocy życie odebrał, albo został zamordowany.

— Czy matka jeszcze o czemś innem do pana mówiła?

— Nie, dała mi tylko polecenie.......

— Jakie?

— Oddania listu na pocztę.

— Do kogo był ten list?

Walter zarumienił się, zmieszał i spojrzał na matkę, której zmarszczone czoło zdradzało dziś po raz pierwszy pewien niepokój. Ale na pytające spojrzenie syna wzruszyła tylko ramionami.

— Do kogo był ten list? — powtórzył sędzia.

— Do pana Hobsona, — odrzekł Walter nieśmiało.

— Wrzuciłeś pan go do skrzynki?

— Tak!

— Potem wróciłeś pan do domu, lecz na rozkaz matki pojechałeś jeszcze raz do miasta?

— Ta . . . . . tak!

— I widziałeś się z panem Hobsonem?

— Tak!

— Ale oprócz tego miałeś pan jeszcze coś innego do załatwienia?

Pytania sędziego i dziwny wyraz twarzy matki rozgniewały w końcu młodego chłopaka tak, że zapominając się zupełnie, zawołał w uniesieniu:

— Jeżeli pan wiesz o wszystkiem, to nie rozumiem, po co mnie jeszcze pytasz. Mnie ta cała sprawa nic nie obchodzi i nie chcę mieć z nią nic do czynienia. Jeżeli pan chcesz się czego dowiedzieć, to zwróć się do mej matki.

Na kilka następnych pytań odpowiadał krótko i niechętnie, tak, że sędzia uznał za stósowne badanie jego zakończyć. Walter odszedł na swoje miejsce zły i zachmurzony, a sędzia zawołał teraz głośno.

— Panie Higgins!

Nazwisko to wywołało wielkie zdumienie, bo pan Higgins był ogólnie znanym i najbogatszym złotnikiem w Nowym Yorku. Był to ów mężczyzna, którego przywiózł wczoraj już pan Whiteney.

— Panie Higgins, — zaczął sędzia, — powiedziano mi, że pan znasz jakieś szczegóły tej sprawy!

— Tak jest.

— Widziałeś pan niedawno tego młodego człowieka, którego co dopiero przesłuchiwałem?

— Owszem, i przypominam go sobie zupełnie dokładnie.

— Znałeś pan zmarłego pana Mainwaringa?

— O tak, od wielu lat!

— Znałeś pan także stare, rodzinne klejnoty Mainwaringów, których teraz szukamy?

Walter zaczął się niepokoić, a pani La Grange zbladła, gdy złotnik odpowiedział:

— Znałem je bardzo dobrze, bo miałem je zawsze u siebie, gdy pan Mainwaring wyjeżdżał na dłuższy czas z domu. Mam też dokładny ich opis i spis!

— Jest to bardzo ważne. Proszę mi teraz powiedzieć kiedy i przy jakiej sposobności widziałeś pan Waltera La Grange?

— Znajdowałem się wczoraj przed południem w mojem biurze, gdy prokurysta prosił mnie, abym przyszedł do składu zaraz do pewnego młodego, podejrzanie wyglądającego człowieka, który przyniósł na sprzedaż kilka klejnotów nadzwyczajnej wartości. Udałem się natychmiast do składu i ujrzałem tego samego młodzieńca, którego pan co dopiero przesłuchiwałeś. Pokazał on mi wspaniałą brylantową broszę w wytwornej aksamitnej szkatułce i w równie wytwornej przepyszny naszyjnik z szafirów i brylantów. Poznałem te klejnoty natychmiast — pochodziły one z skarbca Mainwaringów . A prawie bezpośrednio przedtem dowiedziałem się o zamordowaniu pana Mainwaringa — o kradzieży klejnotów jednak nie słyszałem jeszcze wcale. Ale mimowoli skombinowałem morderstwo z zamiarem młodego człowieka sprzedania mi brylantów i powziąłem pewne podejrzenie. Wypytywałem dokładnie młodzieńca o wszystko możliwe — powiedział mi więc, że mieszka w Chennes z matką, daleką krewną bankiera. Z jej to polecenia miał mi brylanty sprzedać, ponieważ potrzebowała znaczniejszej sumy pieniędzy. Brzmiało to bardzo prawdopodobnie — tak, że nie miałem powodu wątpienia o prawdziwości słów jego, a jednak odmówiłem kupna klejnotów i poleciłem jednemu z prywatnych detektywów, aby tę sprawę śledził dalej. Po upływie dwóch godzin dowiedziałem się już, że młody człowiek sprzedał brylanty żydowi za czwartą część ich wartości.

Zaraz potem słyszałem, że klejnoty bankiera zostały skradzione, i wiedząc, że Vhiteney tutaj się znajduje, doniosłem mu telefonem o wszystkiem. Pan Vhiteney przyjechał zaraz do miasta, poszedł do żyda i na pierwszy rzut oka poznał i broszkę i naszyjnik.

Złotnik umilkł teraz na chwilę, a wyjąwszy z kieszeni dwa puzderka aksamitne, podał je sędziemu.

— To są klejnoty — dodał — sprzedane przez tego młodzieńca. Pożyczyłem je na kilka godzin od żyda i przywiozłem kopią spisu kosztowności pana Mainwaringa. Możesz pan porównać jedno z drugiem, a przekonasz się zaraz, że wszystko zgadza się z sobą jak najdokładniej.

Sędzia obejrzał brylanty, przeczytał ich opis i wręczając je napowrót złotnikowi, rzekł:

— Masz pan słuszność! Nie podlega żadnej wątpliwości, że to są klejnoty, należące do rodziny Mainwaringów. Widzę, że oszacowałeś je pan na siedm tysięcy dolarów.

— Tak jest to oszacowanie dosyć nizkie — ale broszka ta i naszyjnik najmniej też mają wartości — inne klejnoty pana Mainwaringa są o wiele kosztowniejsze. Zresztą nie mam już nic do powiedzenia.

— Dziękuję panu i proszę panią La Grange.

Pani La Grange wstała i dumna, wyniosła, jak zawsze zbliżyła się do stołu.

— Słyszała pani, — odezwał się sędzia, — co pan Higgins zeznał w tej chwili. Co masz na to do powiedzenia?

— Nic więcej jak to — odparła z szyderczym uśmiechem, — że mogłeś pan całą tę historyę usłyszeć odemnie, i że panowie Vhiteney i Higgins byli by mi oszczędzili przykrości rozgłaszania przed całym światem o ambarasie pieniężnym, w jakim się znajdowałam, dzięki memu fałszywemu stanowisku, jakie w tym domu zajmuję. Nie byłabym uważała wcale za potrzebne zamilczeć o tem, że klejnoty te należą do zbioru kosztowności rodziny Mainwaringów — muszę jednak dodać, że mój mąż podarował mi je niedawno.

— Nie jest to bardzo prawdopodobnem, aby mąż, który się obchodzi z żoną tak, jak pani opowiadałaś, obdarzał ją podarunkami podobnie wysokiej wartości.

— Dla niego miały brylanty wartość bardzo małą — wszakże słyszałeś pan co dopiero, że to najskromniejsze przedmioty z całego zbioru. Bywały zresztą czasy, że mogłam wszystko żądać od niego — wszystko, tylko nie publicznego uznania mnie za żonę.

— Sprzedaniem brylantów chciałaś pani zapewne uzyskać sumę potrzebną na zaspokojenie pana Hobsona?

— Tak jest!

— A żądanie jego polegało na układzie, zawartym z nim kilka godzin przed śmiercią pana Mainwaringa?

Pani La Grange zmarszczyła czoło.

— Mniejsza o to, — rzekła niechętnie — muszę przyznać, że tak było w istocie. A że chcesz pan zapewne jeszcze zapytać jakiego rodzaju był ten układ, przeto powiem zaraz wszystko. Wiedziałam, że ja i mój syn mamy tak samo być oszukani o nasze prawa, jak pan Mainwaring już innych oszukał, i wzięłam Hobsona jako mego adwokata dla tego, że on był świadkiem naszego małżeństwa i że już w innych sprawach służył memu mężowi. Gdy się więc wczoraj rano dowiedziałam o śmierci pana Mainwaringa, posłałam natychmiast do Hobsona z poleceniem, aby się zajął natychmiast mojemi sprawami. Zażądał on jednak na zaliczkę znacznej sumy i ztąd wynikło to, o czem powiadał pan Higgins.

— W jaki sposób miał on się zająć sprawą pani?

— Pozostawiłam to zupełnie jego woli.

— Będąc po raz drugi wieczorem u pani, miał swego pisarza z sobą, możesz pani opisać powierzchność jego?

— Niestety, nie mogę! Człowiek ten był tylko dla tego u mnie, aby służyć za świadka przy naszym układzie. Siedział on dosyć daleko od stołu i ja wcale nie zważałam na niego.

— Więc układ pani z Hobsonem był tylko ustny?

— Tak!

Sędzia wrócił raz jeszcze do wczorajszych zeznań pani La Grange, a mianowicie do sprzeczki, jaka się miała odbywać pomiędzy bankierem a jego sekretarzem. Pani La Grange nie cofnęła i nie zmieniła ani jednego słowa z tego, co powiedziała wczoraj i dla tego wezwał sędzia raz jeszcze sekretarza Skotta.

Harry był zupełnie spokojny.

— Jaki stosunek panował pomiędzy panem a bankierem Mainwaring aż do jego śmierci? — zapytał sędzia.

— Zupełnie taki, jaki panuje zwykle pomiędzy pryncypałem i jego urzędnikiem. Przestrzegałem pilnie naznaczonych mi granic i nie przekroczyłem ich nigdy, chociaż pan Mainwaring okazywał mi więcej uprzejmości niż innym i ja byłbym to mógł wyzyskać.

— Więc nie istniało pomiędzy wami żadne nieporozumienie? Nigdy się nie odbywały burzliwe sceny?

— Nigdy!

— I ostatnia rozmowa pana z nim była spokojną jak zawsze?

— Zupełnie spokojną!

— Ale jak się to zgadza z zeznaniem pani La Grange, która twierdzi, że owej nocy słyszała gwałtowną sprzeczkę pomiędzy panem Mainwaringiem i panem?

— Na to mogę odpowiedzieć tylko to, że pani La Grange mówiła nieprawdę!

— Czyli — że po prostu kłamała.

— Nie zupełnie — sprzeczka taka mogła się odbyć, ale zaprzeczam stanowczo temu, że słyszała mój głos, i że byłem o tej porze jeszcze w bibliotece.

— Byłeś pan już wtenczas w swoim pokoju? Dwadzieścia minut po dwunastej?

— Tak. Rozmowa moja z panem Mainwaringiem nie trwała dłużej jak dziesięć minut i dziesięć minut przed wpół do pierwszej byłem na pewno w mej sypialni.

— O której udałeś pan się na spoczynek?

— Tej nocy siedziałem jeszcze bardzo długo. Byłem tak zajęty memi osobistemi sprawami, że nie czułem żadnego zmęczenia. Zapaliłem cygaro, pogrążyłem się w myślach i nie uważałem wcale jak czas upływał. Dopiero szelest jakiś na dziedzińcu — podobny do cichego, ostrożnego stąpania zbudził mnie z zadumy. Spojrzałem na zegar i zdumiałem — była to godzina trzecia! Rzuciłem się wtedy w ubraniu na kanapę, usnąłem i obudziłem się dopiero wtenczas ,gdy służący zapukał do drzwi z oznajmieniem o śmierci pana Mainwaringa.

— Na rozmaite inne pytania odpowiadał Harry równie spokojnie i dokładnie i na tem skończyło się przesłuchiwanie domowników.

— Proszę teraz krewnych zmarłego — rzekł sędzia.

Badania Ralfa Mainwaringa i jego syna nie wykazało nic nadzwyczajnego, pan Thornton zaś wspomniał tylko o przypadkowem spotkaniu się z Hobsonem i jego renomie. Pozostawały jeszcze tylko panie do przesłuchania i sędzia odezwał się uprzejmie:

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PRACA
Tygodnik illustrowany

Z bieżącej chwili.

Setna rocznica urodzin Wincentego Pola.

W dniu 20 z. m. z powodu setnej rocznicy urodzin Wincentego Pola, jednego z najznakomitszych poetów polskich, w mieście jego rodzinnem, Lublinie, w Królestwie Polskiem, J. E. ks. Jaczewski, biskup lubelski, odprawił w katedrze uroczyste nabożeństwo. Świątynię przepełniła młodzież wszystkich szkół lubelskich. W niedzielę wieczorem urządziła obchód uroczysty, poświęcony pamięci Wincentego Pola, Macierz szkolna lubelska.

Wincenty Pol pochodził z ojca Niemca, w Galicyi osiadłego, (ojciec jego był urzędnikiem austryackim) i z matki Polki, Kornelii z Olszewskich; urodził się w Lublinie 20-go kwietnia roku 1807, właśnie wtedy, kiedy Austryacy tam byli panami, lecz gdy ci w roku 1809 ustąpili przed wojskami polskiemi, rodzice jego przenieśli się do Lwowa. Tu też odebrał Wincenty Pol wykształcenie, oczywiście niemieckie.



Wincenty Pol.
ur. 20. IV. 1807, um. 2. XII. 1872.

Po ukończeniu uniwersytetu we Lwowie, Pol, oddał się badaniom literatury, czyli zabytków piśmiennictwa, jako obrazu życia duchowego i rozwoju oświaty narodów, aby później uczyć innych tego przedmiotu w Wileńskim Uniwersytecie, w którym miał zamiar zostać profesorem.

I rzeczywiście, po napis[...] matu bohaterskiego, otrzyma[...] szenie na stanowisko profeso[...] niemieckiego; niebawem wy[...] Wilna, po drodze zwiedza[...] Kijów, Wołyń i Polesie[...] jednak bawił Pol w stolic[...] gdyż w tym czasie wybuchło p[...] nie, zorganizował w r. 1831 grono m[...] dzieży i połączył się z oddziałem Gie[...] guda i Chłapowskiego. Po doznane[...] klęsce przeszedł wraz z innymi granicę pruską.

Pod wpływem świeżych wypadków pisał pieśni patryotyczne, które wydał w następnym roku w Paryżu p. t. „Pieśni Janusza.“ Utwory te, odznaczające się rozmaitością uczucia i śpiewnością, podobały się wszystkim

...nie głośną sławę. Po po... ...c do Galicyi w r. 1832, ...udziale z politycznemi ... czasów, przejeżdżał ...r poprzek, zachwycając ...ajobrazów górskich. W ...dził Tatry po raz pierwszy ...ie w 1843 po raz drugi ...sie stosunki łączyły po... ...erym Krasickim, majo... ...kowskim, który mu wie... ...y opowiedział z przeszło... ...a z czasów walk na Ukra...

...cieczek po kraju była ... naszej,“ której począ... ...mieszczamy, a z rozmów ...kim powstała opowieść ... najwybitniejszy utwór ...o Pola.

...kby krytyka obecna powie... ...jako poecie, nigdy spiżo... ...horta nie utraci dla nas ..., a w sercach naszych i pa... ...staną na zawsze, pełne miło... ...ojczyzny „Pieśni Janusza“ i ...eśń o ziemi naszej.“

Dopókąd bowiem bić w nas będą ...rca tą miłością, jaką drgało serce po... ...ty, dotąd melodya popularnych pieśni: „Grzmią pod Stoczkiem armaty...“, albo „Bracia rocznica — więc po zwyczaju“ i innych przemawiać do nas będzie głosem wspomnień i budzić otuchę i męstwo!

Dziś w chwili przełomowej, wśród rozterek i antagonizmów między dziećmi jednej ziemi i w walce z żywiołami wrogiemi, imię tego przybranego, dzielnego syna Polski brzmi dla nas jeszcze jedną pociechą:

Stanowi on dla nas dowód niespożytej żywotności i siły asymilacyjnej narodu, który umiał tak wchłaniać w siebie obce żywioły, że jednem z nami tętnem biły i serca, że ci synowie przybranej ojczyzny — ukochali tę ziemię naszą jak matkę.

Krótkie wspomnienie zakończę słowami samego poety, który opiewa naszą piękną Polskę, jej lud, cnoty i cierpienia, a tak cudnie, serdecznie, łzawo! W proroczem swem natchnieniu widzi szczęśliwą przyszłość narodu, gdy tak śpiewa:

Świetna, świetna, jak myśl ona,
Którą natchnie Bóg i bitwa,
A tak czysta, jak modlitwa
Przed skonaniem odmówiona.
A potężna, jak lud kmiecy,
Co ją dźwignie swemi plecy.

Pol przebolał dużo od tych, którzy nie rozumieli jego duszy i w dniu 2-go grudnia 1872 r. zasnął snem wiecznym.

* * *

A czy znasz ty...

A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?
Z czego słyną, kędy giną,
W jakim kraju i Dunaju?

A czy znasz ty, bracie młody,
Twojej ziemi bujne płody
Pola bitew, ojców groby
Pomniki starej doby?

A czy wiesz ty, co tam stoi
Na tej ziemi popisano?
Co żałości twe ukoi?
Co puścizną tobie dano?

Poznaj, pókiś jeszcze młody,
Co kochane było wprzódy,
Nim twe serce krwią dziedziczną
Kochać mogło ziemię śliczną.

Wyleć ptakiem z twego gniazda,
Miłać będzie taka jazda:
Spojrzeć z góry na twe ziemie
I rodzinne twoje plemię.

Wincenty Pol.

Nowa walka kulturna.

IX.
Ksiądz proboszcz Jan Ludwiczak z Zielonejwsi przed sądem karnym w Lesznie.

Dnia 15-go marca odbył się przed izbą karną sądu ziemiańskiego w Lesznie proces przeciwko ks. prob. Ludwiczakowi z Zielonejwsi.*) Prokurator zarzucał w swem oskarżeniu ks. L., że rozkazując pisać i rozdawać karteczki z żądaniem nauki religii, pacierza i pochwalania Pana Boga w polskim języku, tem samem stanął w sprzeczności z § 110 — i że tym sposobem wywołał, albo przynajmniej przyczynił się do tak zw. strejku w szkołach parafii Zielonowiejskiej.



Ks. proboszcz Jan Ludwiczak z Zielonejwsi.

*) O procesie tym zamieściliśmy już w jednym z poprzednich numerów krótką wzmiankę. Dziś zamieszczamy podobiznę ks. proboszcza Ludwiczaka i jednocześnie dajemy treściwe sprawozdanie z procesu. Przyp. Redakcyi.

Ksiądz L. odpowiadając na zarzuty przyznaje, że na żądanie ojców, którzy po wiecach odbytych w Zielonejwsi na dniu 7-go i 14-go października z. r. przystąpili doń z prośbą o takie karteczki, rozkazał organiście p. Henkemu karteczki pisać, i tym dać, którzyby sobie tego życzyli. Zaprzecza jednakże, by miał tem strejk wywołać, albo się doń przyczynić.

Strejk szkolny był w Zielonejwsi już przed wakacyami październikowemi — upadł wprawdzie, lecz potem tem silniej wybuchł. Rozkazując pisać karteczki nie myślał oskarżony przestąpić § 110 — chciał on jedynie i uważał za swoją powinność spełnić przez to obowiązek i kapłański i obywatelski.

Przesłuchano potem świadków, których zawezwano 12, pomiędzy nimi p. *Schmidta*, głównego nauczyciela szkoły Zielonowiejskiej, p. *Meyera*, komisarza obwod. z Rawicza i p. inspektora szkolnego pow. *Jonetza* — gospodarzy — p. organistę, a nawet jedno dziewczę szkolne.

Świadkowie zeznawali zupełnie to samo co oskarżony.

P. *Schmidt* na zapytanie p. *adwokata Maciaszka*, który bronił oskarżonego, zeznał nawet, że on jest tego zdania, że i wtenczas gdyby ktoś inny a nie ks. L. był w Zielonejwsi, że i wtenczas strejk z pewnością byłby wybuchł. Już bowiem częściej od roku 1900 t. j. od czasu gdy zaprowadzono naukę religii w niemieckim języku w Zielonejwsi, okazywała się jakaś niechęć dzieci, opór — już dawniej posyłali ojcowie petycye o polski wykład religii.

Charakterystycznem było zeznanie p. *komisarza Meyera z Rawicza.* Pyta go się przewodniczący sądu pan Schlütter — by powiedział o czem oskarżony mówił na wiecu dnia 14-go października — który to wiec p. M. dozorował i — rozwiązał. — P. M. na to pytanie odpowiada, że on nie pamięta, a zresztą on po polsku tak jak to wykształceni ludzie mówią nie rozumie.

Przewodniczący na to: Jak pan możesz dozorować zebranie, jeżeli pan po polsku nie rozumiesz?

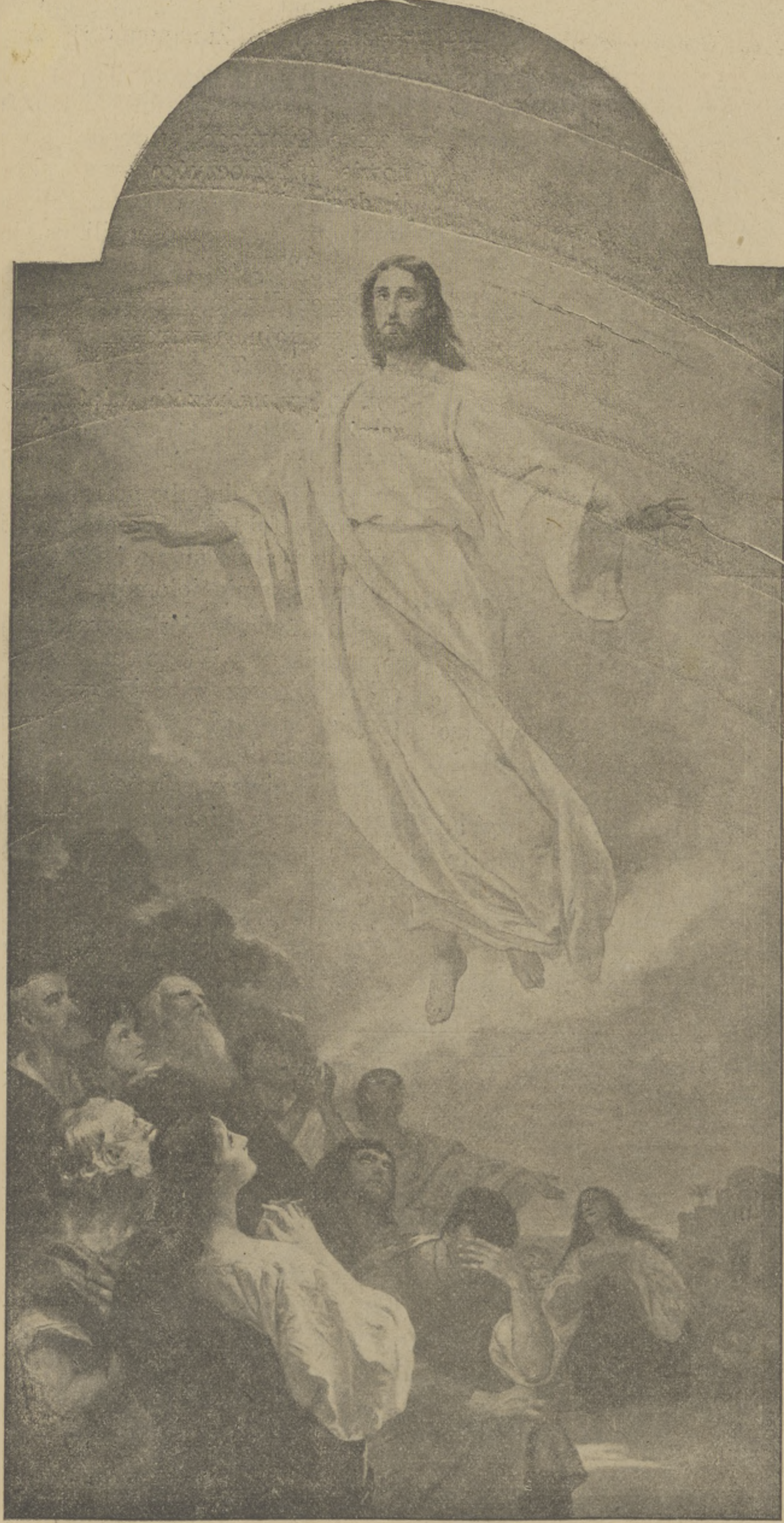
Świadek Meyer: Mam zawsze tłomacza — jest to albo żandarm, albo

jaki pan z Poznania, a jak taki pan mi kiwnie, wtenczas rozwięzuję zebranie.

Przewodniczący: Ach tak, a więc od żandarma zależy rozwiązanie zebrania; no ja bym przeciwko temu energicznie protestował — *ich möchte dagegen aber ernstlich protestieren.*

kary w wysokości 300 marek i kosztów sądowych.

Obrońca pan Maciaszek w krótkiej ale treściwej swej przemowie zbija wywody prokuratora, twierdząc, że oskarżonemu nic więcej nie udowodniono, tylko to co sam przyznał, że na żądanie ojców kazał pisać karteczki



E. Liphart. **Wniebowstąpienie Pańskie.**

Po przesłuchaniu świadków — prokurator twierdząc, że wina oskarżonego jest udowodniona i że oskarżony właśnie swojem zachowaniem się, już to mową na wiecu, już to rozdawaniem karteczek, jeżeli nie wywołał, to przyczynił się przynajmniej do strejku, wnosi o nałożenie oskarżonemu

owe. To oskarżony przyznał już w przesłuchach śledczych — i jeżeli to jest karygodnem, można go było skazać bez robienia tylu kosztów niepotrzebnych. On jednakowoż uważa, że oskarżony rozkazując pisać owe karteczki, nie przekroczył § 110 — i wnosi o uwolnienie zupełne oskarżonego i nałożenie wszelkich kosztów kasie państwowej.

Po dłuższej naradzie ogłasza przewodniczący wyrok, skazujący *ks. L. na 150 mk. kary i poniesienie wszelkich kosztów.* W uzasadnieniu wyroku powiedziano, że jedynie tylko udowodniono oskarżonemu, że kazał pisac owe karteczki — i to wystarcza, by przekroczyć § 110. Że zaś tem strejk miał wywołać lub się do niego przyczynić — tego oskarżonemu nie udowodniono. Dowodzi tego zeznanie p. Schmidta, głównego nauczyciela, który wyraźnie na zapytanie zeznał, że strejk na drugi dzień po wakacyach zupełnie wybuchł, że wszystkie dzieci naraz oddały książki i przestały odpowiadać w religii po niemiecku — podczas gdy karteczki nie naraz, lecz co dzień kilka dzieci przynosiło.



Z wędrówki
po Królestwie Polskiem.

5)

Powiat iłżecko-opatowski.

(Ciąg dalszy).

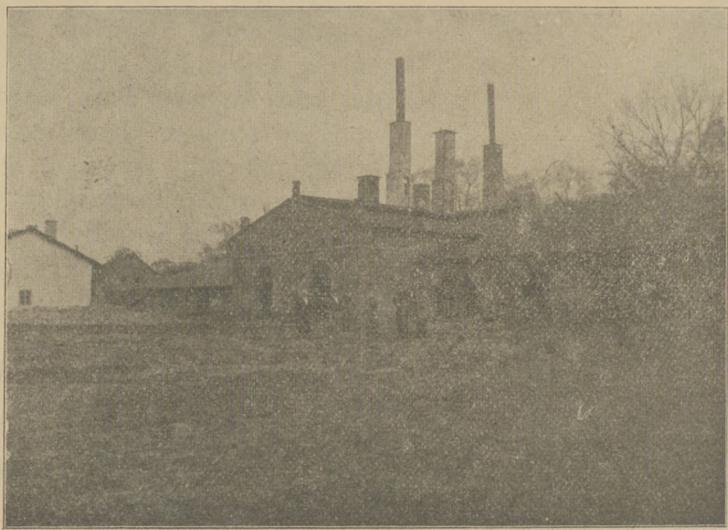
Z Wierzbnika linia kolei wciąż posuwa się po równinie, wpada jednak wkrótce na bagna i trzęsawiska, — przerzyna górę skalistą, którą inżynierowie w czasie budowy kolei rozkopać musieli, mknie obok stawu i fabryki w Michałowie, która należy do Tow. Akc. Starachowickiego. Jest tu pudlingarnia, która w roku 1902 otrzymała półproduktu pudlingowego 554,324 pudów. To znów linia kolei błyśnie około Dziurowa, i wydobywszy się na łąki, już prostą linią bieży, zostawiając na stronie Styków, gdzie jest młyn i tartak, i ogromne, paręset morgowe łąki, niegdyś własność hr. Karwickiego, przybywa do Rudy, tu raptem robi łuk ogromny, i biegnie wciąż, wiorst parę, brzegiem stawu brodzkiego, choć wyschniętego, przecina szosę iłżecką w Brodach prawie w tem samem miejscu, gdzie przed wiekami ciągnęły hordy mongolskie.

W Brodach jest tartak, w którym wyciosa się kloców rocznie 229,633 stóp sześciennych; należy on do zarządu w Starachowicach; jest tu także fabryka cegły ogniotrwałej.

Za czasów Banku Polskiego i administracyi hr. Łubieńskiego wzniesiony tu został upust z ciosanego kamienia, a tak piękny i okazały, że śmiało mógłby być ozdobą nawet w Warsza-

wie. Żywiołowa katastrofa w roku 1904 zupełnie go zniszczyła i prawdopodobnie nie prędko, a może nigdy, ta ozdoba tutejszej okolicy, łączka z przepięknemi stawami, nie będzie przywróconą.

Zakład w Brodach rozłożony jest w nizinie, opiera się jednak o wysoką górę, na której stoi ładny, niewielki kościółek, otoczony wioską Krynki.



Cegielnia w Brodach.

Wciąż linia kolei przebiega łąki, bagna, ubarwione mniejszemi i większemi kępami wikliny i różnych zieleniejących krzewów; przebiega obok Nietuliska Wielkiego, w którym Bank Polski w roku 1839 budować rozpoczął walcownię, kanały i olbrzymie wodozbiory, które z wielkim nakładem zostały ukończone w roku 1845. Prócz tego wystawiono piękny gmach na biuro i mieszkanie naczelnika, kuźnię i magazyn, jako też szereg ozdobnych domów na pomieszczenie oficyalistów i robotników. Za czasów administracyi Banku, zakład ten mógł wywalcować do 76,000 cnt. żelaza. Trzy potężne śluzy, dwie wchodowe przy zakładzie i rzece Świślinie, a trzecia powyżej tej rzeki, są to arcydzieła sztuki budownictwa wodnego.

Obecnie Nietulisko należy do zarządu w Starachowicach — walcownia wydaje rocznie żelaza 598,930 pudów.

Na polach Nietuliskich w roku 1851 przypadkiem natrafiono na duże pogańskie cmentarzysko; przybył tu wtedy na grunt archeolog nasz, F. M. Sobieszczański, i przy nim wiele wykopano glinianych urn i łzawnic różnych kształtów.

Za Nietuliskiem linia kolei juz wprost dobiega do drugiej stacyi Kunów. Stacya położona jest na nizinie a w czasie powodzi w roku 1904-ym ze stacyi uciekano na łódkach.

Miasto tego nazwiska co i stacya, oddalone jest o wiorst parę a zasługuje aby tam wstąpić i obejrzeć.

Kunów (Cunovia) nad rzeką Kamienną. Dobra te należały do biskupów krakowskich i w starożytności były znane, a w roku 1241, gdy Tatarzy plądrowali i szeroko rozpuścili swe zagony po całym kraju, i Kunów nie ostał się bez grabieży — starców i dzieci wyrznięto, a kobiety i młodzież zabrano w jasyr.

W roku 1244 znowu zajaśniała nad spustoszonem miasteczkiem łuna pożaru. Konrad ks. Mazowiecki, mszcząc się, iż Prandota biskup, trzymał stronę Bolesława Wstydliwego, spalił dobra i miasto, i zniszczył mieszkańców. Niedługo po tych krwawych wypadkach mieszkańcy Kunowa mieli być świadkami smutnej w dziejach naszych swawoli i skażenia obyczajów, nawet wśród duchowieństwa.

W Kunowie przebywali biskupi krakowscy, którzy z blisko położonego Bodzentyna zjeżdżali tu na łowy, jako do miejscowości otoczonej nieprzebytemi borami, z różnorodną dziczyzną. Najczęściej przebywał tu Paweł z Przemankowa, biskup krakowski, który więcej oddawał się rycerskiemu rzemiosłu, niż kościołowi, a z zaproszonymi towarzyszami całe dnie spędzał na ucztach i uganianiu się po borach za zwierzyną.

Postać tę scharakteryzował J. Kraszewski w jednej ze swych historycznych powieści „Syn Jazdona".

Otóż ów Paweł zakochał się w zakonnicy, porwał ją z klasztoru Klarysek w Skale i jawnie mieszkał z nią w Kielcach. Wtedy to dwaj bracia porwanej, Otto i Żegota Toporczykowie, mszcząc się na biskupie, i z polecenia Leszka Czarnego, schwytali go w Kunowie, jak złoczyńcę srogo skrępowali, dostawili do Sieradza, i w tamtym zamku w lochach osadzili, a stało się to w r. 1271.

Przez długie lata mieszkańcy zażywali spokoju, a wzrost i bogactwo zawdzięczali Zbigniewowi Oleśnickiemu, który najprzód wieś na miasto zamienił, stworzył wiele fabryk, wykopać kazał staw i kanał, a wodę użył do wytworzenia siły potrzebnej do poruszania fabryk. Pomiędzy innemi były tu tkalnie sukna i fabryki do obrabiania kamieniołomów.

Pod światłemi i energicznemi rządami biskupa i jego następców, mieszkańcy coraz więcej zyskiwali znaczenia, dobrobytu i bogactwa, gdy niespodzianie wieloletnią ciężką ich pracę w niwecz obrócił straszny pożar, który wzniecili w roku 1502 Tatarzy krymscy czyli perekopscy, napadli na Kunów i ze szczętem go spalili i złupili.

Wojny szwedzkie za czasów Jana Kazimierza i Augusta II. zupełnie do



Kościół w Krynkach.

ruiny i nędzy doprowadziły mieszkańców. W całym kraju gorzała bez przerwy zacięta walka, wskutek czego nie myślano w owe ciężkie czasy o wznoszeniu gmachów, kościołów i t. p., a był to prawie jedyny zarobek, i utrzymanie mieszkańców Kunowa.

W ostatnich chwilach historycznej

naszej egzystencyi, 9-go czerwca roku 1787 Kunów miał szczęście przyjmować u siebie Stanisława Augusta, który z Ukrainy przejeżdżał tędy do Krakowa, — zwiedzał tutejsze ogromne łomy kamienia, i mieszkańców obdarował przywilejami. Miasteczko już nigdy nie miało powrócić do świetnych dawniejszych czasów. Obecnie jest to mała osada, ubożuchna, zabudowana po większej części drewnianemi domkami, — całe niemal miasteczko zarzucone ogromnemi płytami kamienia, z którego mieszkańcy wyrabiają: pomniki, ornamentacye i różnorodne ozdoby, a robota ich rozchodzi się po całym kraju, a nawet i dalej. Wszyscy prawie mieszkańcy są artystami-samouczkami, a wielu pracuje w zakładach artystycznych w Warszawie.



Plebania z widokiem na kościół w Krynkach.

Piękne są tu łomy kamienia, a jak Sobieszczański utrzymuje, że jest to te same pasmo gór, które ciągną się aż do Chęcin, i tam pokład kamienny przechodzi w marmur.

Miasteczko rozsiadło się w nizinie, otoczone prawie z trzech stron górami, a wjeżdża się do niego od szosy Ostrowieckiej, przez most rzucony na rzece Kamiennej. W górach, o które się opiera miasteczko, kryją się właśnie sławne Kunowskie kamieniołomy prześlicznego białego piaskowca.

Mieszkańcy zajmują się także rolnictwem, a mając bogate niziny, plantują cukrowe buraki, które dostawiają do blizko położonej cukrowni w Częstocicach. Swą czystością wyróżnia się miasteczko wśród innych podobnych w naszym kraju.

Kościół w Kunowie murowany, kryty blachą, pod względem architektonicznym nie bardzo może się podobać — zdaje się, że był przebudowany lub oszpecony restauracyą. Pierwotny kościół musiał być piękniejszy, o czem przekonywa brama i cały front obmurowania cmentarza, z ciosowego kamienia, zupełnie innego stylu, o wiele okazalszy od całego kościoła; ma on wszystkie cechy starożytności. Kiedy został założony i przez kogo przebudowany, kroniki nie wspominają — prawdopodobnie jednak, z chwilą powstania miasta musiał już egzystować i stawiać go także musieli biskupi krakowscy, jako właściciele Kunowa, przebywający tu tak często. Wewnątrz świątynia czyściutka, z kamiennemi ołtarzami, dłuta miejscowych artystów, miłe bardzo robi wrażenie.

IV.

Ze stacyi Kunów, mkną wagony po prostej linii, około folwarku Rudka, pierwszy raz przebiegają przez most rzucony na rzece Kamiennej pod Kuźnią, i przerzucając się na drugą jej stronę, nizinami, do trzeciej i ostatniej stacyi Ostrowiec dobiegają. Stacya obszerna położona jest między Ostrowcem i Klimkiewiczowem.

Ostrowiec, brudna cuchnąca mieścina, w której 20 procent jest chrześcian, resztę zaś ludności stanowią wyznawcy Starego Testamentu. Rynek obszerny, błotnisty, otoczony ze wszystkich czterech stron brudnemi także, murowanemi piętrowemi kamienicami, z przeróżnemi sklepami, sklepikami i kramikami. Rynek, jak całe miasteczko, jest znakomitym zbiornikiem wszelkich chorobotwórczych zarazków.

Miasteczko jest jednem z najbardziej handlowych u nas w kraju. Fabryki żelazne, urodzajna gleba, krańcowa stacya kolei, są ważnym czynnikiem, że Ostrowiec stał się główną arteryą, łączącą się ze wszystkiemi rynkami w kraju, a nawet i z zagranicą.

Tu dostarczają żelazo z Bodzechowa i Klimkiewiczowa, porcelanę i fajans z Ćmielowa, kafle z Denkowa, cukier z Częstocic — drzewo z lasów, a przedewszystkiem cały produkt rolny, z tak bogato-urodzajnej okolicy, jaką jest Opatowska i Sandomierska ziemia.

W Ostrowcu jest szkoła, apteka i doktór, a od niedawna założono tu filię „Rolników Radomskich.“

Historyczne pamiątki są bardzo skąpe.

Niegdyś wieś Ostrów, zamieniono na miasto przywilejem wydanym przez Zygmunta I. w roku 1524, a to się na prośby dziedzica Kaspra Maciejowskiego, stolnika Sandomierskiego. Król pragnąc, aby nowe miasto jak najprędzej się wzniosło, uwolnił tych, którzy się tu osiedlać zaczęli, jak również i dawniej zamieszkałych, na lat 20 od wszelkich podatków, ceł i t. p.

Miasto pierwotnie nosiło nazwę Ostrów; później dla odróżnienia od kilku innych miast, mających takie samo brzmienie, nazwano je Ostrowcem.

Późniejszymi dziedzicami Ostrowca byli: Sanguszkowie, Lubomirscy, Wiśniowieccy, Dobrzańscy, ks. Czartoryscy. Obecnie należy do dóbr hr. Wielopolskiego.

Kościół zbudowany jest z kamienia na wyniosłej górze. Jedyna to ozdoba miasta; o czasie jego założenia i fundatorach kroniki nie wspominają.

Stacya Ostrowiec, jak wspomniałem, jest ostatnią, na dystansie Skar-Ostr., a pasażerowie którzy mają zamiar udać się w dalszą podróż, znajdą na placu przed dworcem kolejowym, różnorodne ekwipaże.

Władysław Zapałowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W kościółku pełno woni...

W kościółku pełno woni —
Kwiaty ją ślą majowe,
A słonko złote wpada,
Przez okna kolorowe.

I barwne wiesza tęcze,
Po szarym starym murze,
A pieśń: „Serdeczna Matko“
Brzmi na kościelnym chórze.

Przed ołtarz Maryi, spieszą
Starzy i pacholęta,
A Ona patrzy na nich
Tak słodko uśmiechnięta,

Jakby powiedzieć chciała:
„Przychodźcie do Mnie, dziatki,
Gdy was co boli, smuci,
Jak do rodzonej matki....

Jam uzdrowienie chorych,
Ucieczka utrapionych,
Jam siła i wytrwanie,
Cierpiących i zgnębionych".

Wonne kadzidła dymy,
Wzbijają się ku górze —
Litania do Matki Boskiej
Brzmi w pełnym zgodnym chórze.

I spływa radość w serca
I ulga i pociecha,
A Matka Przenajświętsza
Wciąż słodko się uśmiecha...

Janina Różańska.

Polne kwiecie.

Pogadanka na tle baśni, klechd i gadek ludowych.

Nikt z pewnością nie pogardzi polnem kwieciem, choćby najbardziej upodobał sobie wspaniałe kwiaty ogrodowe i cieplarniane. Boć zawsze w tych bajecznie wonnych i cudnobarwnych pięknościach więcej przecież jest sztuki, niżli przyrody. To też skromny kwiatek polny potrafi niezawodnie przemówić do duszy każdemu dźwiękiem swej prostoty...

I dlatego to dzisiaj na ulicach dużego miasta, gdzie wiecznie otacza nas zewsząd nienaturalna atmosfera cieplarniana, chętnie wyciągamy rękę do kwiaciarki po zwykły chwast z dalekiego pastwiska, lubo przez cały rok oczy i powonienie nasze podziwiają różne okazy nadzwyczajne sztuki ogrodniczej.

I dla tego też wiosną i latem każdy „pan z miasta", czy „miejska panienka", wraca do domu ze swej wycieczki „na zieloną trawkę" zawsze przynajmniej z paru makami lub dzwoneczkami z naszych łąk i pól, jeśli nie z całą wiązanką wszelakiego kwiecia, albo jednolitą równianką chabru, czy jaskru....

Więc o tej porze zajmą może niejednego wiadomości, jakie to baśni, klechdy, gadki różnorodne łączy fantazya gminna z tym i owym kwiatkiem polnym; trzeba bowiem wiedzieć, że o powstaniu niemal każdej rośliny — ma lud wiejski jakąś legendę swoją, mniej lub więcej poetycznej osnowy. I właśnie zamierzamy przytoczyć tu niektóre z nieznanych szerszym kołom publiczności, przyczem poprzestaniemy jedynie na takich kwiatach polnych, które nawet mieszczuch, najmniej o wsi mający pojęcia, zdoła jeszcze — znalazłszy się wśród przyrody — rozeznać i nazwać między zbożem, na roli lub w trawie na łące.

Ależ bo tyle bywa tego bujnego kwiecia na łąkach, iż niełatwo nawet dać sobie radę z mnóstwem rodzajów, rozmaicie nazywanych przez wiejskich botaników różnych okolic naszej ziemi. Dla przeciętnego mieszczanina, znajdującego się tylko chwilowo pośrodku owych lasów dzikiego zielska zdala od murów miejskich — wszystko to jest polnem kwieciem: to razu ogromną równinę i spytał go, czy wie, co to jest...

— A skądże mógłbym wiedzieć — odrzecze Adam. — Chyba, że i to jest morzem.... Ale to ma zupełnie inny wygląd i barwę inną od tego morza, które wczoraj poznałem, chociaż i to podobnie, jak tamto faluje na wietrze.... Panie, jest-że to morze?

Pan Bóg się roześmiał serdecznie i zaczął człowiekowi tłomaczyć, iż mo-



Pod Twoją obronę uciekamy się...

dość ładne, tamto śliczne, jedno pachnie, inne prawie nie ma woni, a mniejsza o nazwy, bo przecież wszystko jednako zje koń, czy krowa... A tych pól szerokich człowiek sobie dziś nawet nie wyobraża bez owego mnóstwa kwiecia....

Tymczasem Stwórca w pierwszej chwili podobno nie dał człowiekowi kwiatów na łączce.

Oto Bóg, oprowadzając Adama po rajskim ogrodzie, który był całą ziemią, dla przyszłego rodu ludzkiego przeznaczoną, pokazał mu pewnego rze to woda, tymczasem na równinie, na której stali, było sucho.

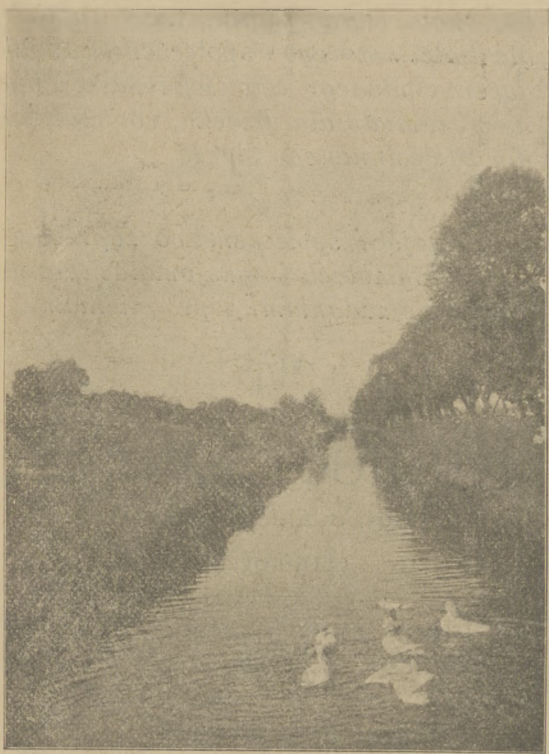
— Pójdź ze mną dalej, Adamie, przypatrzysz się temu dokładnie... Są to pola, na których chwieją się złote zboża....

I poszli w głąb łanów, nurzając się w lesie kłosów wysokich, jak gdyby w powodzi. Po drodze Stwórca wyjaśniał wszystko Adamowi szczegółowo, odpowiadając jak najchętniej na jego zapytania.

— Jakżeż ci się tutaj podoba? — zagadnął go Pan Bóg nareszcie, gdy

przystanęli na szerokiej miedzy pośrodku pól. Adam zaś zaczął się jeszcze raz oglądać na wszystkie strony, aż na koniec głową kiwając, powiada:

— Nie bardzo mi się tu podoba. Wprawdzie mądrze to obmyśliłeś, Panie Boże; przyznaję, iż wyjść z podziwu nie mogę — i nawet wyobrażam sobie, że chleb z tego ziarna będzie mi smakował, jak najlepsze z drzew owoce... Ale na tych polach to mi będzie nudno chodzić.... Ot, szumią sobie zboża — i nic więcej!



Kanał rzeki Kamiennej ze Starachowic do Nietuliska.
(Patrz artykuł p. t. „Z wędrówki po Król. Polsk.“).

— Nudno ci będzie, powiadasz? — zafrasował się Pan Bóg i czoło przeciera i myśli....

Wreszcie wziął Stwórca kamyk z ziemi i rzucił w obłoki. Patrzy Adam w niebo, a tam pod chmurką białą, zamiast kamyka, trzepocze skrzydełkami jakieś ptaszę i ślicznie śpiewa a śpiewa, żeby go się słuchało bez końca... Aż naraz ptak urwał piosenkę i jak ten kamyk, co go Bóg podrzucił przed chwilą w górę — spadł teraz z pod obłoków na ziemię i zniknął w zbożu u stóp Adama, który się tylko uśmiechał na te dziwy.

— No, może się teraz nie będziesz nudził w polu, skoro ci skowroneczek ma odtąd zawsze i wszędzie przyśpiewywać....

— To prawda, Panie Boże, mam czego posłuchać; ale jakże nie mam się tu nudzić, skoro muszę patrzeć ino ciągle na samo zboże i zboże... Przecież tu nic innego nie ma....

— Jeszcze ci źle, człowieku — westchnął Stwórca i całe swoje szaty podarł na strzępki. A miał Bóg na sobie płaszcz czerwony, pod nim ubranie niebieskie, na ciele zaś koszulę białą. Płaszcz był najgrubszy, więc się rozsypał w dużych płatach potargany; ale szata niebieska wraz z bielizną — jako cieńsze — rozleciały się na wietrze na wszystkie strony, podarte w drobniutkie strzępy....

Adam ciekawym wzrokiem wodził wkoło.

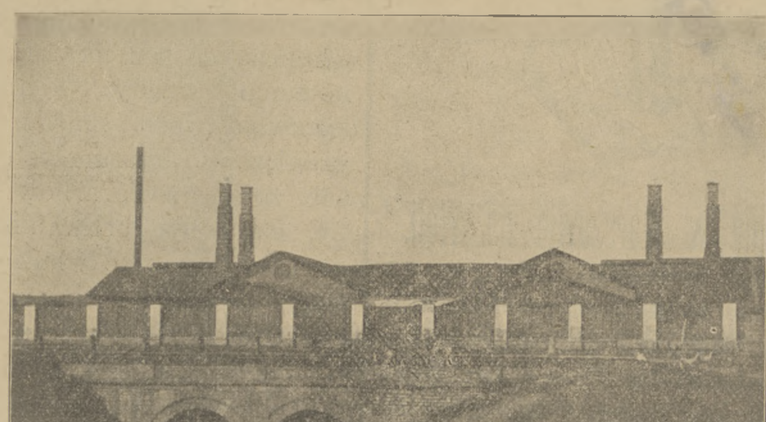
A Pan Bóg po chwili znów go pyta:

— Może ci się teraz będzie podobało na polu, przecież nie poskarżysz się chyba na brak urozmaicenia; wszakże tu już nie samo zboże...

Istotnie wśród zboża tu i owdzie dużymi plamami purpury płaszcza królewskiego czerwieniły się maki; bliżej zaś wychylały się z pomiędzy kłosów rumianki, białe, jak strzępki koszuli, które wiatr przed chwilą rozrzucił po polu... Wzrok Adama błądził dalej wśród powodzi zbożowej: wszędzie pełno było niebieskich strzępów szaty Stwórcy, przemienionych w bławaty.

— Teraz bardzo mi się tu podoba, Panie Boże — odezwał się wreszcie Adam, nie odrywając oczu od kwiecia barwnego w zbożu. A kiedy to Stwórca usłyszał, odszedł, zostawiwszy człowieka na polu.

Wkrótce później wyprowadził raz Bóg Adama na niezmierzone okiem pastwiska zielone.



Walcownia w Nietulisku.
(Patrz artykuł p. t. „Z wędrówki po Królestwie Polskiem“).

— Masz tu łąki — powiada do niego — będziesz sobie na tej trawie bujnej pasał bydło... Dobrze?

Nic na to człowiek nie odrzekł, ino z Panem Bogiem chodził i chodził w tej trawie, do kolan gdzieniegdzie sięgającej, gdzieindziej znów niższej, ledwie po kostki człowiekowi — ale tak gęstej, że nigdzie nie doszukanoby się w niej ziemi.

— Panie Boże, — odezwie się naraz Adam — to, jak widzę, bydło będzie tu sobie zajadało tę zieloną trawę, a cóż ja będę wtedy robił na łące?

— Pytasz się jeszcze... Będziesz przecież musiał pilnować sobie, by ci czego nie porwał z nienacka wilk lub jastrząb...

— Ee, to mi się będzie przykrzyło na łące....

Wtedy Pan Bóg go zaprowadził do wierzbiny, ukręcił fujarkę i nauczył człowieka grać na niej. Spodobało się to Adamowi i zaczął sobie zaraz wygrywać na fujarce tak ładnie, że aż się krowy zatrzymywały przed nim i, spoglądając zdziwione, nasłuchiwały ciekawie. Stwórca tymczasem poszedł dalej, załatwić niejedno, co mu wypadało pilnego. Ale kiedy powrócił na pastwisko, zastał Adama, leżącego w trawie bynajmniej nie w dobrem usposobieniu.

— Cóż to posmutniałeś?

— Nudzę się tu strasznie, Panie Boże... Sama trawa i trawa, nic więcej; nie ma na co patrzeć...

— A na fujarce nie chce ci się już grać?

— Zmęczyłem się... i przykrzy mi się tak samemu na tej łące... Żeby to przynajmniej było tu co więcej prócz bydła, które przecież znam już dobrze.... Kiedy nic, ino trawa i trawa zielona....

Rady sobie nie dam z tobą, człowieku — westchnął ciężko Stwórca i wrócił w niebo. A za chwilę srebrne gwiazdki zaczęły się sypać na łąkę z nieba. Adam z wielkiem zajęciem przypatrywał się temu i zaczął biegać tu i owdzie, szukając spadających. Tymczasem, gdzie tylko gwiazdki wpadły w trawę, bieliły się wszędzie stokrotki...

Człowiek brał w rękę kwiatek jeden po drugim i wyrywał z niego drobniutkie płateczki białe, które lek-

ki wietrzyk rozrzucał dokoła po trawie. Gdzie zaś zleciał na ziemię płateczek wyrwany z gwiazdki — stokrotki, tam zaraz wychylał się z zieleni jakiś kwiatek, jeden inny od drugiego, tak, że dwóch nie było podobnych do siebie, chociaż wszystkie były białe. Dopiero później przyszedł Pan Bóg do Adama z tęczą w ręku i przesunął nią kilka razy po łące, tak, że się każdy kwiatek dotknął tęczy i zaraz się zabarwił od niej rozmaicie....

Od tej chwili długo miał Stwórca spokój, bo wiele czasu potrzebował Adam, żeby wszystkie najprzeróżniejsze kwiatki poznać i napatrzeć się każdemu do syta. Tak mu się zaś to wszystko podobało,. iż nie słyszał nawet pytań Pana Boga, zali mu się teraz nie nudzi... Stwórca wreszcie przestał go pytać o to. Jednakowoż po pewnym czasie, chociaż nad kwieciem cudne latały motyle, wszystko sprzykrzyło się człowiekowi w raju i sam się Bogu poszedł użalić, iż nie wytrzyma dłużej w swej samotności. A wówczas Pan Wszechmocny nijak sobie z nim rady dać nie mogąc, stworzył człowiekowi kwiat najpiękniejszy — kobietę.

W taki to sposób na polach przedwiecznych powstać miały pierwsze kwiaty wszelakie.

Kazimierz Kalinowski.

(Dokończenie nastąpi.)



Sejm elekcyjny w Warszawie na Woli.*)

Po śmierci króla Augusta III, który zmarł w Dreźnie 5-go października 1763 r., nastąpiło w Polsce bezkrólewie. Czartoryscy podczas bezkrólewia, pozyskawszy dla swej partyi prymasa Lubieńskiego, zebrali wojsko i postawili kandydaturę ks. Adama Czartoryskiego. Potoccy popierali kandydaturę młodego elektora saskiego, Fryderyka Augusta, a gdy ten zmarł w miesiąc po zgonie Augusta III, ogłosili, jako kandydata do tronu, hetmana Jana Klemensa Branickiego.

Po burzliwych sejmikach prowincyonalnych zebrał się sejm konwokacyjny w Warszawie 7 maja 1764, na który obadwa stronnictwa przybyły zbrojno. Braniccy sprowadzili prawie całe wojsko koronne, Czartoryscy mieli za sobą większe jeszcze siły, przysłane z Rosyi. Warszawa zamieniła się w obóz wojenny. Stronnictwo hetmańskie, widząc przewagę po przeciwnej stronie, wniosło protest przeciw gwałtom, popełnionym przez Czartoryskich i opuściło Warszawę ku wielkiemu zadowoleniu „familii". Marszałek sejmowy, Stanisław Małachowski, nie chciał otwierać obrad i uniósł wraz z Mokronowskim laskę marszałkowską. Radziwiłł z wojskiem swem opuścił Warszawę, udając się na Litwę, Branicki na Wołyń, poczem bez walki ustąpili za granicę, do Węgier i Turcyi.

Tymczasem „familia" po obraniu marszałkiem Adama Czartoryskiego, postanowiła przeprowadzić na sejmie zasadnicze reformy, to jest znieść *liberum veto*, uporządkować wojskowość, skarb, podźwignąć miasta i t. d. Przeciwko reformom tym wystąpili ambasadorowie Prus i Rosyi, oświadczając, iż stoją w obronie wolności narodu i nie zezwolą na pogwałcenie jego swobód zasadniczych. Dla tego też popierać będą wybór kandydata polskiego, ale do zniesienia „liberum veto" i do zamienienia wolnej elekcyi na tron dziedziczny nie dopuszczą. Równocześnie zawiadomili, iż zdaniem ich, najstosowniejszym kandydatem jest Stanisław August Poniatowski.

Nie mogąc przeprowadzić reformy w całości, Czartoryscy zadowolili się zmianami częściowemi: zniesiono przywilej sprowadzania towarów zagranicznych bez cła dla szlachty, ustanowiono urzędy (komisye) wojny, sprawiedliwości skarbu i policyi; ograniczono „liberum veto" w ten sposób, że sprawy skarbowe i ekonomiczne, mają być uchwalane większością głosów; zniesiono władzę wojewodzińską w miastach i nadano im samorząd częściowy; ustanowiono dwa trybunały sądowe: w Piotrkowie i Poznaniu dla Wielkopolski, w Lublinie i Lwowie dla Małopolski; wreszcie — uporządkowano sposób elekcyi króla, którym w przyszłości mógł być jedynie Polak.

Reformy, przeprowadzone na sejmie, jakkolwiek nie usuwały zła zasadniczego, to jest elekcyi i „liberum veto", miały jednak wielkie znaczenie, dlatego też znalazły uznanie i przysporzyły Czartoryskim mnóstwo stronników, nawet z pośród partyi hetmańskiej.

W dniu 7 września 1764, na polach Woli, obrany został królem Stanisław August Poniatowski, i wbrew dawnemu zwyczajowi, koronował się w Warszawie.

*) Patrz illustracyę albumową. Przyp. Red.

Tak mówi Mickiewicz.

Pragnienia i namiętności nie mogą być nigdy negacją, owszem są one afirmacją duszy.

* * *

Socyalizm musi mieć nowe pragnienia, nowe namiętności, niezrozumiałe dla ludzi starego społeczeństwa, jak dążenia młodego człowieka muszą być niezrozumiałe dla dziecka, również jak dla zdziecinniałego starca.

* * *

Konające społeczeństwo zagrzebuje się w dogmatach i aksjomatach, a odradza się zadaniami i pragnieniami.

Koniec świata.

(Opowiadanie pośmiertne).

(Humoreska).

Przed samym postem po mieście Güneburgu rozeszła się wieść, że wkrótce nastanie koniec świata.

Pierwszy wieść tę puścił w obieg doktór Zacharyasz Piper z Kolmaru, a rozniosły ją rozmaite dzienniki. Zacharyasz Piper obliczył, że kometa dosięgnie ziemi w sam tłusty wtorek, wieczorem; że ogon jej, mierzący trzydzieści pięć milionów mil francuskich długości, składa się z wrzącej wody, że więc śniegi na wierzchołkach gór stopnieją, drzewa poschną, a ludzie się ugotują.

Prawda, pewien szanowny uczony paryski, nazwiskiem Popinot, ogłosił, że chociaż kometa niewątpliwie wpadnie na ziemię, ale ogon jej stanowią tak drobne krople pary, że każdy może spać spokojnie. On, Popinot, odpowiada za wszystko.

Zapewnienie to wiele osób uspokoiło.

Na nieszczęście, u nas w Güneburgu jest stara prządniczka, Marya Finkowa. Mieszka w uliczce Trzech-Garnków. Jest to mała, siwa i zmarszczona staruszka, z którą obywatele naradzają się w sprawach poważniejszych. Zajmuje niziutki pokoik, z sufitem, ubranym jajkami malowanemi wstążeczkami, orzechami złoconymi i rozmaitemi innemi dziwacznemi ozdobami. Chodzi w staroświeckich sukniach, a żywi się jakimś odwarem, co w oczach ludności dodaje jej wiele tajemniczej powagi.

Stara Finkowa, zamiast popierać zdanie zacnego Popitoma, stanęła po stronie Zacharyasza Pipera.

— Nawróćcie się do Boga — mó-

wiła — modląc się, żałujcie za grzechy i czyńcie dobrze, gdyż zbliża się koniec!

Na jednej ścianie jej pokoiku widać było obraz, przedstawiający piekło, do którego schodzili ludzie drogą, usypaną różami. Szli wesoło, podskakując. Jedni z butelką w ręku, drudzy — z szynką, trzeci — ze sznurem kiełbasek. Wędrowny muzykant w kapeluszu, ubranym wstążkami, przygrywał im wesoło. Niektórzy całowali się ze swemi przyjaciółkami, a wszyscy zbliżali się ku gorejącej otchłani. W ogniu widać było fikających nogami tych, którzy już wpaść zdążyli.

Można sobie wyobrazić, jakie myśli opanowywały każdego, kto na ten obraz patrzał. Niema człowieka, któryby nie miał na sumieniu pewnej liczby grzechów. Więc też większość mieszkańców mówiła:

— Nie będziemy się bawili w ostatki! Lepiej tłusty wtorek spędzić na modlitwie i żalu za grzechy.

Nigdy jeszcze nie widziano nic podobnego.

Plac-adjutant, komendant fortecy, oraz podoficerowie trzeciej roty byli w rozpaczy. Wszystkie przygotowania do zabawy, wielka sala merostwa, ozdobiona umyślnie girlandami i trofeami wojennemi, estrada dla orkiestry, piwo, wiśniówka i t. d. — wszystko miało iść na marne!

— Nie jestem zły człowiek — mówił sierżant Duchaine, — ale gdyby mi się teraz dostał w ręce wasz Zacharyasz Piper, jabym mu pokazał, gdzie raki zimują.

Najbardziej zmartwieni byli: Daniel Spitz, syn poczmistrza, poborca Dujardin, no — i ja. Tydzień przedtem jeździliśmy do Strassburga po kostyumy. Wuj Tobiasz dał mi nawet 50 franków z własnej kieszeni, nakazując, abym nie szczędził wydatków. Wybrałem sobie wspaniały kostyum Pierrota, Dujardin — kostyum Turka i Spitz — kostyum poliszynela. Byliśmy z góry przekonani, że wszystkie panny będą się nami zachwycały.



Potok górski.

I po takich przygotowaniach widzieć, jak wszystko idzie do dyabła z winy jakiejś staruszki, albo Zacharyasza Pipera! Jak tu nie pogardzać całym rodzajem ludzkim?

Zresztą, nic to dziwnego. Ludzie są zawsze ludźmi i głupcy zawsze tryumfują.

* * *

Przyszedł wtorek. Od rana niebo było zachmurzone, śnieg sypał. Ludzie patrzą w górę, na prawo, na lewo — komety nie widać! Panny zawstydziły się swej bojaźliwości, kawalerya poczęła biegać do kuzynek, do ciotek, do znajomych, po wszystkich domach Grüneburga.

— No, pokazuje się — mówili, — że stara Finkowa to waryatka, i że wszystkie gadania o końcu świata to nonsens. Czy to rzecz widziana, aby komety ukazywały się w zimie?

Podoficerowie ze swej strony chodzili po kuchniach i traktowali z kucharkami. Ludność uspokoiła się powoli. Starzy przychodzili oglądać wielką salę merostwa. Wspaniałe dekoracye z błyszczących szabel i sztandarów wprowadzały wszystkich w zachwyt. Nastrój zmienił się zupełnie. Przypominano sobie, że to ostatni dzień karnawału. Panny poczęły wyjmować z szaf nowe spódniczki i czyścić pantofelki.

O godzinie 10-tej wieczorem wielka sala merostwa była już przepełniona. Odnieśliśmy zupełne zwycięstwo — ani jedna panna z Grüneburga nie odrzuciła zaproszenia. Grzmiały klarnety i trombony. Młodzież hasała zawzięcie, starsi bawili się wybornie. W bufecie panował tłok straszliwy, ojciec Zimmer, nasz dostawca, zacierał ręce z radości. Niektórzy goście, tak się zawzięcie chłodzili w bufecie, że musieli wychodzić trzeźwić się na dworze.

Śnieg padał.

Wuj Tomasz dał mi klucz od mieszkania, abym mógł wrócić, kiedy będę chciał. Do godziny drugiej nie opuściłem ani jednego walca, ale później miałem już dosyć. Przytem od... częstego chłodzenia się, porządnie kręciło mi się w głowie.

Wyszedłem. Na powietrzu otrzeźwiałem nieco i począłem się namyślać: wrócić na zabawę, czy iść spać?

Byłbym jeszcze z przyjemnością potańcował, ale oczy strasznie mi się kleiły. Wreszcie zdecydowałem się iść do domu i ruszyłem ulicą św. Sylwestra, trzymając się murów i rozmawiając z sobą głośno. Posuwałem się takim sposobem w ciemności z dziesięć minut i już miałem okrążyć fontannę, gdy przypadkiem podniosłem

głowę w górę i ujrzałem — czerwone, płonące na niebie światło.

Z pewnością było jeszcze kilka milionów mil, ale pędziło tak szybko, że za kwadrans mogło już zetknąć się z ziemią.

Osłupiałem. Czułem, że włosy podnoszą mi się na głowie.

— To kometa! — rzekłem do siebie. — Zacharyasz Piper miał słuszność!

I nie zdając sobie sprawy z tego, co czynię: zawróciłem z powrotem i popędziłem ku merostwu. W parę minut byłem już na schodach i wołałem:

— Kometa! Kometa!

Była to chwila największego ożywienia zabawy. Muzyka grzmiała, kawalerya waliła hołupce, panny czerwieniły się, jak maki. Ale gdy na sali zabrzmiało straszne słowo „Kometa!“ — w jednej chwili zapanowała cisza śmiertelna.

Sierżant Duchaine, skoczył ku mnie, i zatkał mi usta ręką.

— Zwaryowałeś pan? — wołał. — Będziesz pan milczał?

Odepchnąłem go i ryczałem w dalszym ciągu:

— Kometa!... Kometa!...

Na schodach dał się słyszeć tupot wielu nóg. Wszyscy śpieszyli ku wyjściu, kobiety jęczały, niektóre wznosząc ręce do góry, wołały z płaczem:

— Boże, zmiłuj się!

W kilka sekund sala opustoszała.

Duchaine puścił mnie. Opadłem z sił, oparłem się o okno i patrzałem na biegający w panicznej trwodze tłum. Wreszcie zrozpaczony, ruszyłem z miejsca. Przechodząc koło bufetu, ujrzałem, jak Katarzyna Lagoutte i kapral Bouquet kończyli wazę ponczu.

— Wszystko się już kończy, więc trzeba i ten poncz skończyć.

Na dole wiele osób, siedząc na schodach, spowiadało się wzajemnie. Jeden mówił: „Trudniłem się lichwą...“ Drugi: „Miałem fałszywą wagę!“ Trzeci: „Szachrowałem przy grze w karty.“ Wszyscy mówili razem, a od czasu do czasu spowiedź przerywali jękiem: „Zmiłuj się nad nami, Boże!“

Zobaczyłem tam starego piekarza Fevre'a i ciotkę Loritz. Bili się oboje w piersi, jak szaleńcy. Ale to mnie nie bardzo interesowało. Miałem dość własnych grzechów...

Wkrótce dopędziłem tych, którzy biegli do fontanny. Tu aż powietrze drżało od jęków i łkań. Wszyscy stwierdzili już obecność komety, a ja zrobiłem spostrzeżenie, że rozmiary jej powiększyły się w dwójnasób. Od komety biły błyskawice, a światło jej w głębokiej ciemności wydawało się jak krew czerwone.

Tłum jęczał i wzdychał ciężko.

— Wszystko skończone! Boże, zginęliśmy!

W tej chwili przypomniałem sobie wszystkie grzechy, które popełniłem od czasu przyjścia do rozumu i przeląkłem się. Zimny dreszcz przebiegł całe ciało moje na myśl, że za chwilę wszyscy znajdziemy się w ogniu.

Najbliżej mnie stał stary żebrak Baltazar na swoich kulach. Począłem go całować, mówiąc:

— Baltazarze, gdy będziecie na łonie Abrahama, zlitujecie się nademną, prawda?

— Wielki ze mnie grzesznik, panie Krystyanie! — odparł żebrak, łkając, oto od trzydziestu lat przez próżniactwo oszukuję gminę, bo nie jestem tak bardzo kulawy...



Juliusz Osterwa
artysta teatru poznańskiego.

Powyższa rycina przedstawia pana Osterwę w bardzo charakterystycznej postaci *Witolda* z Asnykowego „*Kiejstuta*“. Pan Osterwa zawód swój sceniczny rozpoczął pod dyrekcyą Solskiego, który powierzeniem mu roli *Hena* w Żuławskiego *Ijoli* pasował go na rycerza. Wybór tej postaci Słowackiego świadczy, że młody aktor pragnie pójść w kierunku poważnym, że do sztuki dramatycznej żywi aspiracye we właściwem tychże słów znaczeniu.

— I ja, Baltazarze, jestem największy grzesznik w Grüneburgu!

I płakaliśmy obaj, trzymając się w objęciach.

* * *

Klęczeliśmy tak już z kwadrans, gdy nadbiegł nagle zadyszany sierżant Duchaine. Pobiegł naprzód ku arsenałowi, ale tam nic nie zobaczył, więc wracał ulicą Kapucyńską.

— Czego tu krzyki wyprawiacie?! — zawołał gniewnie.

Nagle zobaczył kometę.

— Do stu piorunów, a to co?

— To koniec świata, panie sierżancie — westchnął Baltazar.

— Koniec świata?

— Tak, kometa!

Duchaine zaklął straszliwie.

— Gdyby to jeszcze plac-adjutant był tu, możnaby zażądać instrukcyi.

Nagle dobył szabli i rzucił się wzdłuż muru, wołając:

— Naprzód! Trzeba zrobić rekonesans!

Wszystkich zdumiła jego odwaga i ja sam, pociągnięty przykładem, udałem się za sierżantem. Posuwaliśmy się powoli naprzód, nie odrywając oczu od komety, która zbliżała się do nas z szybkością miliona mil na sekundę.

Wreszcie dotarliśmy do węgła starego klasztoru Kapucynów. Kometa jakoś poszła w górę. Im bardziej zbliżaliśmy się, tem wyżej się podnosiła. Musieliśmy coraz bardziej zadzierać głowę w górę, aż wreszcie Duchaine przekrzywił zupełnie w tył głowę i patrzał prosto w górę. Ja szedłem za nim o dwadzieścia kroków i widziałem kometę nieco z boku.

— Czy to rozsądnie będzie posunąć się dalej — mówiłem do siebie, — gdy nagle sierżant stanął, jak wryty.

— Niech djabli wezmą! — rzekł cicho. — Przecież to latarnia!

— Latarnia? — powtórzyłem, zbliżając się — czy to możliwe?

I patrzałem zdumiony.

Rzeczywiście, była to stara latarnia z reflektorem, która niegdyś stanowiła własność klasztoru Kapucynów. Nie zapalano jej nigdy dla tej prostej przyczyny, że Kapucynów nie było już od r. 1798, a wszyscy w Grüneburgu chodzą spać razem z kurami. Ale stróż nocny, Bourras, przewidując, że tego dnia będzie wielu pijanych, powziął myśl wysoce humanitarną — zapalić latarnię, aby przechodzący nie wpadli do rowu klasztornego.

Teraz widzieliśmy dokładnie oprawę latarni. Płomień był wielkości palca, ale rozdmuchiwany przez wiatr, powiększał się i wcale nieźle udawał kometę.

Widząc to, już zamierzałem krzyczeć, aby uprzedzić wszystko, gdy sierżant powstrzymał mię gwałtownie.

— Milczeć, jeżeli łaska! Chcesz pan, aby z nas kpili? Baczność!

Odczepił szybko zardzewiały łańcuch i latarnia spadła z hałasem. Uciekliśmy czemprędzej.

Tłum stał jeszcze długo, ale ponieważ kometa zgasła, skończyło się na tem, że wszyscy nabrali odwagi i poszli spać.

Nazajutrz mówiono w mieście, że kometa zgasła dzięki starej Finkowej.

Erckmann Chatrian.

Kruk.

O życiu i zwyczajach kruka posiadamy tyle ciekawych szczegółów, że warto powtórzyć je tutaj, aby czytelnicy poznali bliżej tego ptaka, którego lud, jak wiadomo, otacza w swych podaniach, baśniach i przysłowiach niezwykłą uwagą.

Bliski kuzyn wrony — kruk (Corvus corax) przewyższa tę ostatnią znacznie rozmiarami i różni się od niej jednostajnie czarnem upierzeniem; do współczesnych, do obecnych warunków życia na ziemi, widocznie, przystosował się znakomicie, dzięki czemu napotkać go można na ogromnym obszarze lądowym: w całej Europie, Ameryce północnej i Azyi od wybrzeży oceanu Lodowatego aż po Himalaje. Kruk wszędzie, gdzie go spotykamy, prowadzi życie osiadłe, t. j. w ciągu całego roku trzyma się danej miejscowości, przyczem najchętniej wybiera takie okolice, gdzie las, pole, łąka i woda znajdują się blisko obok siebie, każde z tych środowisk dostarcza mu żywności, ponieważ w pokarmie nie jest wybredny i wogóle wszystko, co tylko „zjeść się daje'', uznaje za dobre dla swego żołądka. Obok więc owoców, nasion rozmaitych i wszelkich części roślinnych jadalnych, spożywa bardzo chętnie i pokarmy mięsne, przejawiając tutaj ogromną drapieżność: nie tylko owady, mięczaki, robaki i drobne kręgowce, lecz nawet większe ssaki i ptaki nie są bezpieczne od jego napaści.

U nas kruki szczególniej zającom dają się we znaki, bardzo gustując w ich mięsie; często polują na zające parami i, podczas gdy jeden ptak zająca wypłoszy, drugi wstrzymuje go od biegu trzepocąc mu „przed nosem'' skrzydłami; biada zającowi, który się teraz zatrzyma niebacznie: jeden z kruków, bijąc go dziobem po głowie, do oczów się rzuca, a tymczasem drugi brzuch zająca rozciąwszy, z żywego jeszcze wyciąga wnętrzności. Tak samo potrafiają kruki rozprawiać się z młodem jagnięciem, nie oszczędzając zresztą i starego barana, osłabionego chorobą, bądź podeszłym wiekiem.

Dla wszelkiego ptactwa kruk jest jednym z najbardziej groźnych nieprzyjaciół; jajka i ptaszęta wszelkie tępi w ilości niezmiernej a śmiałość swoją posuwa do tego, że nawet orle napastuje gniazda, oczywiście wtedy, gdy król ptaków nieobecny jest w gnieździe.



Gawron, Wrona. Kawka, Sroka, Kruk.

Czarna rodzina.

Ulubiony pokarm kruka stanowi padlina i doprawdy dziwić się wypada, jak szybko kruki dowiadują się o możności pożywienia się kąskiem podobnym; należy przypuszczać, że z pomocą przychodzi im tutaj i nader bystry wzrok i ostre powonienie.

Dostrzegłszy padlinę, kruk zbliża się ku niej z wielką ostrożnością i długo — długo krąży w powietrzu, rozgląda się z uwagą dokoła, aby zbadać, czy nie ma gdzie zasadzki, a dopiero uspokojony w tym względzie, zataczając coraz mniejsze kręgi, opuszcza się zwolna na ziemię, zatrzymuje się jednak w pewnem oddaleniu od swojej zdobyczy i raz jeszcze rozejrzawszy się z uwagą, powolnym krokiem podchodzi do mięsa; ogląda się co chwila za siebie i po pierwszym kęsku znów bacznym wzrokiem spogląda wokoło, znowu próbuje mięsa, wsłuchuje się pilnie, czy jaki podejrzany szelest nie zamąci panującej ciszy i dopiero upewniwszy się w ten sposób, że jest zupełnie bezpieczny, na dobre rozpoczyna ucztę.

Kruka gotowibyśmy nazwać „fruwającym lisem'' i rzeczywiście obok wielkiej ostrożności posiada on wysoki, prawdziwie lisi spryt i przebiegłość; strzelcowi oszukać się kruk nie da i zawsze potrafi odróżnić spokojnego, zajętego swą pracą rolnika od myśliwego, chociażby mającego wygląd „zupełnie niewinny,'' gdy głód dokucza, umie sobie radzić ze skorupą, w której zamknięte jest zwierzę i w tym celu unosi n p. żółwia lub mięczaka w powietrze i opuszczając z wysokości na kamienie, rozbija twardy jego pancerz.

Życie wiodą kruki bardzo ruchliwe i czynne.

Jak tylko ciemny mrok nocy zacznie się rozświetlać, opuszcza kruk swą nocną placówkę (a sypia zwykle na górnych gałęziach jakiego starego, wysoko wyrosłego drzewa) i rozpoczyna przegląd swoich posiadłości; wzbija się ku obłokom na taką wysokość, by żaden strzał nie mógł go dosięgnąć i teraz niby władca prawdziwy przestworza, z majestatycznym spokojem, podobny do którego z większych ptaków drapieżnych, płynie na powietrzu, od czasu do czasu poruszając silnemi skrzydłami, których szum dochodzi niekiedy do ziemi.

Gdy widzi się zdaleka szybującego tak ptaka w powietrzu, trudno oprzeć się wrażeniu, że porusza się on zgoła bez wysiłku, że nieraz tylko dla swej przyjemności frunie pod obłoki.

Rzadko możemy obserwować kruka pojedyńczo; chyba, że mamy przed sobą „młokosa'', który nie posiadł jeszcze towarzyszki życia, lub też ptaka, którego połowica zajęta jest siedzeniem na gnieździe; po za tem kruki zawsze fruwają parami, w większej lub mniejszej odległości jeden od drugiego, związane na całe życie węzłem małżeńskim.

Do wysiadywania piskląt zabierają się kruki wczesną bardzo wiosną; w tym celu rodzice budują gniazdo w głębi lasu na wysokiem drzewie, lub gdzieś na skale samotnej, a czasem w miastach i osadach na jakiej dzwonnicy czy wieży, w pobliżu rzeźni, garbarni i t. p., skąd można zawsze dostać pożywienie.

Gniazdo, mające przeszło pół metra średnicy i 30 centymetrów głębokie, budowane jest starannie i wewnątrz wykładane mchem, porostami, sierścią i t. p.; gdy już jest gotowe, samica składa w niem 5—6 sporych jajek, koloru zielonkowego z szaremi różnych odcieni plamkami.

Wykarmienie piskląt ze względu na ich żarłoczność jest nader uciążliwe; dobrze przynajmniej, że każdy kąsek, czy to owad, czy robak, czy mięsa kawałek jest przez nie przyjmowany z

wdzięcznością. W latach pomyślnych już w pierwszej połowie czerwca młode opuszczają gniazda, ale jeszcze przez kilka miesięcy trzymają się danej miejscowości i dopiero na jesieni rozpoczynają zupełnie samodzielny żywot.

Wcześnie zabrany z gniazda kruk oswaja się bardzo szybko i łatwo, a jako wszystko jedzący, nie sprawia nam swem wyżywieniem dużego kłopotu; przytem w niewoli daje nam niezliczone dowody inteligencyi i sprytu.

Bardzo łatwo przywyka do swego pana i wkrótce rozpoznaje nietylko głos ale i chód jego. Dane mu imię rozumie i odzywa się, kiedy jest wołany. Bez wszelkiego podcinania języka, a zwykle nawet bez szczególnego starania człowieka, uczy się wymawiać naprzód własne imię a potem i inne wyrazy.

„Ojciec mój, powiada Brehm*), posiadał kruka imieniem Jakób; ów Jakób skrzydlaty swobodnie biegał po całym domu i podwórzu, i wkrótce zaczął wymawiać niektóre wyrazy, naśladując przytem tak wybornie głos ojca, że nieraz domownicy szukali ojca mego po wszystkich pokojach, mniemając, że słyszą głos jego.

Pierwszy wyraz, którego się ten kruk nauczył wymawiać dokładnie, było własne imię Jakób; później zaczął nasz kruk mówić całe zdanie: „Jakób chodź tutaj — Jakób idzie.“ Po pewnym znów czasie upodobał sobie imię Rudolf i gdy tylko dostrzegł noszącego je człowieka krzyczał z zapałem „Rudolf“. Pierwsza dozorczyni „Jakóba“ Wilhelmina witała co rano ptaka słowami: „Jakób, jak się masz?“

Zapamiętał on szybko ten frazes i inne jeszcze, a powtarzał je nie zawsze bezmyślnie; tak n. p. często ku wielkiemu utrapieniu Wilhelminy wołał na nią rano: „Mina, wstawaj“.

Oprócz mowy ludzkiej Jakób potrafił także naśladować szczekanie i warczenie psa, którego lubił nieraz drażnić, gruchanie gołębi, gdakanie kur, śmiech dzieci i t. p., na podwórzu wśród ptactwa domowego starał się za coś lepszego uchodzić i często z wielką powagą rozpędzał gęsi i kury.“

O innym znów kruku, w domu ojca Brehma chowanym opowiada autor, że kruk ten napastował nawet i dziatwę, a drób chwytał i zjadał, tak że w końcu trzeba było zgładzić go ze świata.

Co do szkodności kruka dwóch zdań być nie może i, chociaż jako tępiciel niektórych szkodników niezaprzeczony przynosi pożytek, chociaż niewątpliwie zaletę jego stanowi czynność czyściciela, którą spełnia sumiennie, podbierając wszelką padlinę i wszelkie nieczystości, to jednak, na ogół biorąc, wyrządza on ogromne szkody w naszym zwierzostanie, dla tego z całą bezwzględnością winien być tępiony.

Adam Kudelski.

*) Autor znakomitego dzieła „Życie zwierząt“

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 5 maja 1260 trzęsienie ziemi w Polsce. — 1399 Bonifacy IX. papież przyrzeka być chrzestnym potomka Jagiełły. — 1629 śmierć poety Szymona Szymonowicza. — 1791 zaprzysiężenie konstytucyi przez sejm i króla. — 1829 otwarcie biblioteki Raczyńskich w Poznaniu. — 1831 powstanie w powiecie bajsyńskim.—1831 uchwała sejmowa co do Ziem zabranych.

Dnia 6 maja 1686 traktat Grzymułtowskiego z Moskwą. — 1763 urodzenie Józefa Poniatowskiego. — 1848 utarczka pod Śremem.

Dnia 7 maja 1383 Ziemowit usiłuje zająć Kraków i ogłosić się królem. — 1764 sejm konwokacyjny otoczony wojskiem moskiewskiem.—1768 Stanisław Poniatowski ustanawia order św. Stanisława. — 1787 zjazd carycy Katarzyny z Poniatowskim w Kaniowie. — — 1794 bitwa z Moskwą pod Polanami. — 1831 niedołężne powstanie na Ukrainie. — 1833 wymordowanie przez Moskali ujętych emisaryuszów.

Dnia 8 maja 1079 zabicie św. Stanisława Szczepanowskiego. — 1401 śmierć Władysława, księcia opolskiego. — 1435 walny zjazd Stanów koronnych w Sieradzu. — 1698 stronnicy Conti'ego uznają królem Augusta II. — 1831 zdobycie Dzisny. — 1848 utarczka w Rogalinie.

Dnia 9 maja 1228 nadanie Krzyżakom Ziemi chełmińskiej. — 1638 aresztowanie w Marsylii Jana Kaźmirza. — 1794 wywieszanie zdrajców w Warszawie. — 1831 bitwa pod Firlejem. — 1848 złożenie broni przez Polaków.

Dnia 10 maja 1383 Jadwiga jako królowa w Sączu witana. — 1480



Usługa miłości.

śmierć Andrzeja Krzyckiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego. — 1831 odezwa Litwinów.

Dnia 11 maja 1593 otwarcie sejmu zwyczajnego. — 1640 śmierć Jana Lipskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego.— 1661 nadanie Czarnieckiemu Białegostoku i Tykocina. — 1838 śmierć uczonego Jana Śniadeckiego.

Dnia 12 maja 1159 śmierć w Altenbergu Władysława II. — 1670 urodzenie Augusta II.

Humor i satyra.

Z pieśni sielskich.

Nie śpiewaj, nie śpiewaj
  Moja Magdaleno,
Chłopaka nie złapiesz,
  Gębę zedrzesz jeno.
Nie maluj, nie maluj,
  Agato po ścianie,
Bo się chłop nie złapie,
  Na to malowanie.
Nie rób Jagno kwiatków
  Z czerwonej bibuły,
Bo na takie sztuki,
  Chłop nie będzie czuły.
Umiej szmaty uprać,
  Jeść zgotować trocha,
A za to umienie,
  To cię chłop pokocha.
Miej ta krzynkę gruntu,
  Trzy morgi lub więcej,
To cię chłop ukocha,
  Oj jeszcze goręcej.
A miej jałowczynę
  I świni ze czworo,
To cię chłop pokocha,
  Więcej z dziesięcioro.

* * *

I to sposób.

— Przepraszam pana — czy pan nie zgubił przypadkiem pugilaresu?

— Nie, mam....

— Ma pan?.... To chwała Bogu, bo mi pan pożyczy 100 marek, gdyż bardzo mi są potrzebne!

* * *

Ogłoszenie kupca oszczędnego.

Zaginął czarny pies pudel. Łaskawy znalazca zechce odesłać go za zwrotem kosztów. Jednocześnie zawiadamiam, że żadnych długów za syna mego Wacława płacić nie będę. Polecam codziennie świeże kiełbaski.

Serwerkowski, rzeźnik.

* * *

Pomiędzy literami.

— No jakże twoja wczorajsza premiera?

— Powiadam ci: nadspodziewanie! zaraz po drugim akcie pożyczyłem sobie pięćdziesiąt marek.

* * *

Nasze dzieci.

Podlotek. Mamusiu, niech mi mamusia powie, ile całusów posyła się narzeczonemu w pierwszym liście?

* * *

Rada.

Pomnij bracie (zwłaszcza jeśliś
  Niebogaty),
Że najbardziej pannę zdobi —
  Flota taty.

* * *

Łacno w życiowej poniewierce
Zniepráwić serce,
Więc póki świat się nie odmieni,
Głęboko chowaj je — w kieszeni.

* * *

Przy telefonie.

W kawiarni przy telefonie stoi jegomość ze słuchawką przy uchu. Obok czeka zniecierpliwiony kandydat do słuchawki.

— Panie, co to znaczy? Pół godziny pan słucha, a nic pan nie odpowiada.

— Tak, bo widzi pan to moja żona mówi.

Łamigłówka albo logogryf.

Ułożył czytelnik „Pracy“ H. W. z Ropczyc w Galicyi.

Ułożyć 11 wyrazów, z których początkowe litery czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko poety polskiego a końcówki tytuł jednego z jego utworów.

ZNACZENIE WYRAZÓW.

1. Imię męzkie.
2. Biskup krakowski.
3. Miejscowość w Czechach gdzie się urodził święty.
4. Stronnictwo katolickie.
5. Pseudonim poety polskiego.
6. Nazwa wsi.
7. Przechód podziemny.
8. Gatunek ćmy mały
9. Miasto w Królestwie Polskiem.
10. Osada z ruinami zamku w Krol. Polskiem.
11. Miasto portowe nad Bałtykiem.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 12-go maja.

Rozwiązanie łamigłówki z nr. 16-go.

1. **S**ambor
3. **Ł**użyce
3. **O**nufry
4. **W**iedeń
5. **O**berża
6. **P**aroch
7. **O**kocim
8. **L**ublin
9. **S**achara
10. **K**acerz
11. **I**talia
12. **E**pitet

Dobre rozwiązanie nadesłali: *z Poznania:* pp. Nemo, S. Jaworowska, L. Ludkowski, J. Schulz, J. Szenicówna, B. Marcinkowska, W. Kinowska, A. Gałąska, służąca, Karolek Śródecki, T. Adamczewski, B. Świtańska i M. Maliński; *z prowincyi:* pp. J. Sypniewski, Z. Lewandowska, Kazimira Krauze z Gniezna, A Kozłowska ze Stęszewa, A. Koczorowicz z Pobiedzisk, A. Kaczorowa z Rakoniewic, M. Sławski z Wielichowa, St. Mikołajczak ze Śremu, S. Rychlicki z Krotoszyna, J. Domagała i H. Werda z Wągrówca, H. Palczewska ze Środy, M. Robakowska z Ostrowa, J. Thomasowa z Borku, H. Kaźmierska z Śmigla, T. Chytry z Kobylina, Br. Sikorski z Pleszewa, W. Smorowski z Żnina, M. Koszutska z Kluczewa, J. Kolańczyk z Kowalewa, J. Gawrych z Młynkowa, I. Szałkowska z Kozłowa, N. Matuszewski z Wilatowa, H. Hoffmanówna z Kwilcza, Regina Zalisz z Sarbinowa, J. Schulz z Dobrej, J. Jałeszka z Węgierskiego, A. J. Gawrych z Kierzkowa, S. Pietrzak z Strzyżewa kośc., Fr. Nawrocka z Zabiczyna; *z Frus Zachodnich:* p. M. Marach z Więcborka; *z Górnego Śląska:* pp. L. Oleszko z Kunar, W. Mainka z Kochłowic, E. Ekert z Rudy, Albina Badura z Roździenia, A. Cwołek z Lipin, W. Białas z Wieszowy, J. Knopp, T. Kolanowski i P. Pasternak z Żabrza; *ze Śląska austryackiego:* p. Alojzy Kopel z Zebrzydowic; *z Królestwa Polskiego:* p. S. Zaborowicz z Łuszczewa; *z Galicyi:* pp. J. Zięborak z Biały, W. Machnicki z Bochni, J. Tatkowski z Łąki; *z obczyzny:* pp. L. Wegner i A. Głowacki z Berlina, M. Skowroński z Duisburga, J. Springer z Laar, H. Mąkowska z Wolmirsleben, Stanisław Frąckowiak z Dortmundu.

Nagrodę otrzymali pp: A. Gałąska z Poznania, Alojzy Kopel z Zebrzydowic i Antoni Głowacki z Berlina.

Jeszcze wciąż można abonować

PRACĘ

na pocztach i w agenturach na miesiąc:

maj i czerwiec.

Kwity pocztowe na dwa miesiące dołączamy w dziale inzeratów.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

23)

GADY.

POWIESC Z XIV WIEKU.

(Ciąg dalszy.)

Folgę dając smutkowi swojemu i tęsknocie nieumiarkowanej, rad był o miłowaniu swem myśleć i myślami się temi z Wolfframem dzielić. Aby jeno do niego się zwrócił, zaraz o Helżbietce prawić mu zaczynał, gadać o onej nocy cudownej, w której się dziewce, nic nie wiedzącej o nim, przedstawił jako mara czy duch, a opisywał tak szczegółowo postać Helżbietki, jej oczy, usta i wszystkie powaby niewieście, że jak żywa przed oczami Salzbacha stawała i serce mu darła na strzępy. Całej mocy woli i ducha potrzebował, by jako pies nie zawyć i nie zdradzić się z tem, co miał we wnętrzu. Gryzł wargi, za pas się targał, a krew mu napływała do łba ilekroć o słodkości pocałunku Jaśko mu prawił i o ile mógł rozmowę na inny przedmiot zwracał, wreszcie szarpnął konia za wędzidło, do kasztelanica się zwrócił i rzekł:

— Wybaczcie mi, panie Święca, ale poproszę was, byście o onej dziewce mówić już zaprzestali. Konwersacya taka dla was miłą być może, ale nie mnie, któremu, jako zakonnikowi, słuchać jej się nie godzi, a wy jeno świeckie i grzeszne myśli mi podsuwacie. Wam to nic, ja zaś dbać muszę o duszy mojej zbawienie.

Jaśko spojrzał na Wolfframa.

Zmieniony był a drżał, jakby go zimnem trzęsło; krew napływała to usuwała się z twarzy, i wtedy szczerem płótnem patrzał; oczy zielone miał o błysku stali, ręka raz wraz przesuwała się ku miecza rękojeści, palce, ubrane w rękawice łosiowe, ruszały się dziwnie, jakby na klawikordzie grać chciały. Ten wyraz twarzy i ruchy niespokojne zmieszały Jaśka. Pochylił się do Wolfframa, za rękę go ujął i rzekł:

— Przepomniałem, że zakonnikiem jesteście, że wam o rzeczach takich marzyć nie wolno... Wybaczcie!...

I jeszcze więcej w świetność onego Zakonu uwierzył.

Jadąc do królewskiego Krakowa, Wolffram do spełnienia dwie misye miał: jedną od rzadzy własnej, drugą od Wielkiego Mistrza mu poleconą. Po złożeniu w starożytnych grobach Święców zwłok wojewody gdańskiego, Jaśko w dawnej majętności swych ojców został na czas pewien i czekał na powrót Wolfframa, który do Gdańska ruszył, gdzie wówczas przebywał Wielki Mistrz Zakonu. Tam widział się z Dytrychem Altenburgskim i o zadzierzgniętej nici przyjaźni z panem Szamotulskim mu prawił, Mistrzowi zaś rzucił w ucho o niecnych zamiarach króla Łokietka, który z Litwą się łącząc, przygotowywał się do walki z Zakonem. Niechętny niegdyś królowi pan na Szamotułach, udarowany teraz przezeń wielkorządztwem poznańskiem, boku się jego trzyma i groźnym może być dla rycerzy krzyżowych. Na uwadze trzeba mieć i króla i pana Wińcza, by z ich dobrego stosunku zło jakie Zakonowi nie wyszło. Któż mógł dalej i lepiej rozpoczętą intrygę prowadzić, jeżeli nie ten, który jej węzeł zaciągnął i dumę pana Szamotulskiego tak zręcznie panem Altenburgskim połechtał?... Dla dobra Zakonu to robił, lecz i siebie na uwadze miał; a wżdy dwie pieczenie nieraz na jednym smaży się rożnie — było tak od początku świata i po jego skończeniu tak będzie. A krew Wolfframa paliła dziewka ona, którą w Koronowie zobaczył; zaklął się, że ją odnaleść musi i mieć musi. Nie spodziewał się, że los mu posłuży i szybko tak a niespodzianie dowie się o niej, po straceniu nadziei już wszelkiej. Musiał tedy Jaśka się trzymać przez czas pewien i rękami jego kasztany dla siebie zgarniać.

Jechali do Krakowa; w ono gniazdo szerszeni, gdzie ani Jaśko, jako rycerz Zakonu znienawidzonego, bezpieczeństwa ni miru mieć nie mogli. Zwrócił na to uwagę kasztelanica i radził mu, by na ziemi krakowskiej stanąwszy, na czas pewien miano inne przybrał. On sam weźmie na się strój niemieckiego szlachcica, dopóki nie spotka się z braćmi swoimi w Krakowie, którzy przybędą tam w czas stosowny i już królowi Jegomości, jako poseł Zakonu się przedstawi. Posła nikt tknąć się nie waży, pod opieką jego i Jaśko zostanie.

Uwaga ona, tycząca się Święców nazwiska, zachmurzyła rycerza. Snadź srogi ten król polski był, gdy woli jego tak poddawali się wszyscy, gdy wzbronionem nawet było imię Święców wymawiać. Ale przyjdzie czas, że je rzuci królowi w oczy — myślał w duchu. — I coraz większą nienawiścią ku niemu pałał i grzechem nie wydawała mu się zemsta zaprzysiężona.

Jechali gościńcem krakowskim. Droga była kopna, zaspy śnieżne wstręt im czyniły. Nieskazitelna białość pokrywała ziemię całą, drzewa stały w blasku słońca a iskrzyły się, jakby kto je klejnotami osypał. Śladów ludzkich nie było jeszcze znać nigdzie, jeno gwiazdkowany łańcuch, tu i tam zauważony na śniegu, mówił, że lis przeszedł; jeno trójkąty dołów, które z głębin szły leśnych, mówiły o wilków wyprawie ponocnej. Ani stóp ludzkich, ani śladów koni, a płozów sań przejeżdżających widać nie było. O południu dopiero, jaki taki ruch się na Bożym świecie rozpoczął. Musieli rozpytywać ludzi z rzadka spotykanych po drodze, by z tropu się nie zbić, ale nie składnie im to szło, bo wszystkich odstraszał płaszcz krzyżacki Wolfframa. Znali go zresztą z wycieczek dawniejszych, niby tu nic pomógł i strój zmieniony, jeno podejrzenie wzbudziłby większe i niepotrzebny strach posiał. W granicach ziemi krakowskiej dopiero Wolffram przebrać się miał — tam nikt go nie znał, a tu złe ziele zapachem się swoim zdradzało.

Jaśkowi i Wolfframowi szło o to, by pewność mieć, jaką drogą z Sobkiem i Warszem Helżbietka ruszyła. Krakowskim gościńcem musiała jechać, ale on tak zawiany był, że zbić się z niego było łatwo i na manowce skręcić. Zawieja musiała i pannę Leszczycównę w jakiejś karczmie przydrożnej zatrzymać, zawdy saniami wlekła się wolniej, niż oni konno, a choć brat Johan postękiwał i klął, nie zważali na ono narzekanie księżowskie i o ile sił stało parli naprzód. Droga była zawiana, najmniejszego śladu sanic do pierwszej karczmy przydrożnej nie spostrzegli. Przed wieczorem dopiero dobili się do wiechy pierwszej, stąd gościniec zarysował się śladami świeżymi, ale biegł w trzy strony różne. Snadź tu była dróg krzyżownica.

Konie okryły się mydłem i parowały; musieli wypoczynek im dać i zabrać języka. W karczmie żydowin siedział, który, na widok Wolfframa, pejsami zatrząsł i pantoflami zadreptał. Widział go już raz przejeżdżającego tędy z księdzem Johanem, który wypił wszystko i zjadł wszystko, co na szynkfasie było, lecz gdy do zapłaty przyszło, udarował go kroplą potu Chrystusowego i zwymyślał jeszcze, że żydowin wziąć jej nie chciał. Teraz, zobaczywszy dawnych znajomych swoich: aj waj! w głos zalamentował. Pocieszał go trochę widok Jaśka i strach miarkowała wesoła twarz pazika, choć na Jarmusza podejrzliwym wzrokiem patrzał.

Jaśko się ozwał.

— Słuchajcie, arendarzu — czy nie jechała tędy panna pewna, której towarzyszyło dwóch szlachciców?

— A jaśnie pan kto? — spytał arendarz.

— Święca.

— Swię-ca?...

Jaśko przygryzł wargi, tak dziwne jakoś to pytanie z ust żyda padło.

— Odpowiadaj, nie w zapytania się baw — zgrzytnął...

— Nu, dlaczego nie miała jechać?... Tu jechała nawet taka panna, co i czterech szlachciców przy niej było. Tu różne osoby jeżdżą — trakt duży... Dlaczegoby jeździć nie mieli.

— Ja ciebie pytam o dwóch.

—Było i dwóch, bez panny nawet.

Tu wtrącił się pazik.

— Znasz pannę Leszczycównę?

— Pana Podkamieńskiego wnuczkę... Czemu nam nie znać?... Całe lato u pana Podkamieńskiego bawiła, a co ja od niej figlów miał, a moje bachurki podarunków — to drugie całe lato mówić można o tem... To jaśnie pan — zwrócił się do Jaśka — o Sobka i Warsza pyta?...

— Tak, tak, tak — podchwycił Wolffram, którego dyabli brali, że Helżbietkę pod bokiem miał w Podkamieniu a tymczasem gnał wichry po polu.

Żyd zezem spojrzał na Niemca.

— No, jechała — albo co?...

— Którędy? — spytał Salzbach.

— Jakto którędy?... Czy ona nie mogła jechać, którędy jej się spodobało ...

—Tędy czy tędy... — wrzasnął Wolffram... — Trzy drogi się rozchodzą.

— To jasny pan chce wiedzieć, jaką ona drogą pojechała?...

Jaśko podszedł do arendarza i za brodę go wziął.

— Mów-no, kochanku — a zełgać tylko nie pozwól sobie.

— Nu, ja powiem jaśnie panu; czemu nie mam powiedzieć... Abo to kryminały, czy co?... Tędy, na prawo pojechała.

— Zali to jest krakowski gościniec? — rzucił Wolffram, bo mu się wydało, że żydowin mydli.

— To wszystko krakowskie gościńce. Aj waj, gdyby i czwarty był, to i nim do Krakowa można byłoby trafić. Przecie to nie do Koronowa, a taka wielga stolica... Jasny pan Krakowa nie zna?...

— Dawno jak wyjechali?... — Jaśko zapytał.

— Dlaczego dawno?... Zawieja ich przepędziła do karczemki, tu przenoclegowali, a po południu wyjechali.'

Że noc była księżycowa, postanowiono, po krótkim popasie, w dalszą drogę wyruszyć.

Arendarz, zdaje się, nie kłamał, bo pierwszy kmieć spotkany widział pannę i dwóch szlachciców z nią jadących, ale wskazał drogę, która wcale do Krakowa nie wiodła. Przekonali się za późno o tem. Każdy przechodzień widział pannę i dwóch szlachciców, ale, gdy jeden mówił: na prawo, drugi na lewo wskazywał, tak, że kręcili się w kółko, nie wiedząc sami, jaki gościniec obrać. Rzecz jedna tylko ich pocieszała, to olbrzymie zaspy śnieżne, przez które noga za nogą przedzierać się mogli. Nie tracili nadziei na właściwy natrafić ślad i jeżeli nie dziś, to jutro zbiegów mimowolnych dognać. Dla większej pewności i powodzenia wyprawy, musieli się rozstać i dwiema drogami wyruszyć. Jaśko z Jarmuszem i pazikiem, Wolffram z księdzem Johanem. Kasztelanic spokojny był, bo choćby teraz Helżbietki nie spotkał, w Krakowie lub za Krakowem ją odnajdzie. Wolffram zaś wiedział, że jeżeli teraz ślad zmyli, trudno mu będzie dziewkę oną z przed oczu pana miecznika schwycić.

Mówił Jaśkowi, że rozstawał się z nim a drogę nakładał, dla jego przyjaźni tylko, czemu Jaśko wierzył i rad był, że druha takiego napotkał.

Ksiądz Johan chudnąć zaczął i wielce ubolewał nad tem, trzymał się jednak poły Wolfframa, który mu wikt dawał i opatrunek wszelki. Stękał, klął, jęczał, zapadał wraz z koniem w zaspy śnieżne, z rozmysłu nawet raz z kulbaki się zsunął, by jaki taki odpoczynek mieć i długo nad nim Wolffram namordował się, nim go do powstania zmusił i na grzbiet koński wysadził.

Tak upłynęło dni trzy błąkań się i poszukiwań daremnych. W Krakowie z Jaśkiem spotkać się mieli, a spotkali się po dniach pięciu bałamutnej podróży w nieoczekiwanem wcale miejscu. We wsi pewnej, Koniotopem zwanej, powiedziano Krzyżakowi, że jakaś panna z dwoma szlachcicami gościńcem na prawo ku wsi Zieleńce pojechała, Jaśkowi zaś, który do Zieleniec trafił, Koniotopy wskazano. Na jednej tedy spotkali się drodze, upragnionego przedmiotu nie spotkawszy, i jasno im teraz się zrobiło, że pytania ich podejrzenia wzbudzały i z umysłu bałamutne dawano im odpowiedzi, jak zaś zaczęli przypominać ścieżki wszystkie, któremi wedle wskazówek kręcili się, do przekonania doszli, że nie bardzo oddalili się od karczmy żyda arendarza, że jeżeli tak dalej jechać będą, to do sądnego dnia do Krakowa nie trafią. Bałamuctwa jakieś były, umyślne bałamuctwa, nikt prawdy rzec im nie chciał, jakby przeczuwał, że w pytaniach tych wszystkich zasadzka libo zdrada jakaś była.

Spotkali się ze zdziwieniem i niechęcią.

— To wina waszego krzyżackiego płaszcza — Jaśko rzucił.

— To wina waszego nazwiska Święców — mruknął Wolffram.

— Nienawidzą mnie i was — uśmiechnął się gorzko kasztelanic.

Robiąc mimowolne wyrzuty sobie, niedaleko odbiegli od prawdy. Widział-li kto, czy nie widział panny jadącej, zawżdy zdradę jakąś przeczuwał w pytaniach Krzyżaka, a wolał rzec, że widział i pierwszą lepszą drogę wskazać, niż siebie w podejrzenie podać, że prawdę ukrywa i narazić się na ostrze niemieckiego miecza. A tak, łatwo było pytającemu rzucić: „prosto na Koniotopy pojechali, a droga wiedzie bez most, kieła Maćkowej gruszy, wedle kamienia na szczyrem polu, poped las prosto, gdzie chwieje się osina gniazdami wroniemi usiana, a później na lewo, gdzie taki wielgi dąb rośnie i już do Koniotop, jak w dym trafisz.“

Nie inaczej prawie i z Jaśkiem było, który zawżdy nazwisko swoje wymienił, chcąc wiedzieć, jakie ono wrażenie czyni. Nie obce było, to poznawał po fizyonomii każdego i — poznawał — że było znienawidzone. Nie wyjechali jeszcze z obrębu ziem Wielkiejpolski, gdzie czasu swojego, jak i na Pomorzu, panoszył się ród Święców.

Pod wieczór, gdy do jodłowego zbliżali się lasu, za który tylko co zaszła czerwona kula słońca, na mało otartym gościńcu dostrzegli świeże ślady sań kutych, a po dwóch stronach wyraźnego rysunku sanie, znaki kopyt końskich. Łudzić się nie można było: dwóch jeźdźców towarzyszyło tym saniom na chwilę nie odstając od nich. Zagłębili się w las, jechali szerokim gościńcem krakowskim.

Jaśko i Wolffram nie spuszczali oczu od tych znaków sań kutych. Usta kasztelanica uśmiech poruszył, Krzyżakowi do głowy uderzyła krew. Wsadzili koniom w brzuch ostrogi, i w cwał pognali, choć biedne zwierzęta nadmiernie strudzone były i gorącym okapywały potem. Zmierzch zapadł, a oni pędzili. W oddali błysnęło czerwone okno karczmy przydrożnej.

W tem koń ojca Johana potknął się i padł...

— Bodajbyś zdechł!... — wrzasnął Wolffram.

Nie było jednak wielkiego kłopotu z księdzem. Koń sam wstał, a brata Johana drwale podnieśli, którzy wyłonili się z cieniów.

Pazik zbliżył się do jednego z nich i rzucił od niechcenia niby:

— Prawda, ojcze, że to są ślady od sań kutych?...

— A dyć tak!...

— Nie wiecie kto jechał?...

— Wnuczka pana Podkamieńskiego z Warszem i Sobkiem.

— Daleko muszą stąd być, a może w onej karczmie, hen — hen — na nocleg stanęli — niby od siebie pazik rzucił.

— Niema wygody nijakiej w karczmisku onem. Izba jedna, a ludu huk się zebrało. Piją i gwarzą... Jeżeli będą nocować, to u pana na Łysobokach, bo mało dwie mile stąd. Dobry znajomy pana Podkamieńskiego.

Pożegnali i poszli.

— Do Łysobok — zawołał Jaśko.

— Do Łysobok — powtórzył Wolffram.

— Ty? — Krzyżak?

— Ty? — Święca?...

Jak kule pytania padły.

Nie było gniewu jednak, wiedzieli już jako to z nimi było.

— Prawda — rzekł Jaśko po chwili. — Ale nieodstaniemy już od nich.

Wolffram nie dał odpowiedzi. W myślach swoich przygotowywał napad ponocny. Jak to dobrze, że nie tak bardzo oddalili się od ziem krzyżackich.

Trząsł się.

— Fram — zdradzisz się... — szepnął mu na ucho brat Johan.

— Konie zmęczone — do Jaśka Krzyżak się zwrócił. — Jako tako w tem karczmisku leśnem noc musim przepędzić. Nie zbijem się już z tropu... nie ujdą nam.

Zdania tego był i kasztelanic.

Wolffram szepnął do księdza:

— Wyruszym niepostrzeżenie; przybędziemy do Łysobok jako zabłąkani podróżni.

Ocierał czoło, bo gorącym oblewało się potem. Jaśko nie przeczuwał zdrady... a Wolffram na uboczu przy księdzu Johanie stojąc, rwącym się co chwila prawił doń głosem.

— Ty — ksiądz ,mi pomożesz. Na umówiony znak wyjdziesz z nią przed dwór, by jaką konstellacyę niebieską pokazać. Resztę ja zrobię...

— A moja skóra? — spytał zaniepokojony nieco brat Johan.

— Na mnie licz — nie odbieży ode mnie przytomność umysłu.

Nie obce były Łysoboki Wolfframowi, znał ich właściciela i całe urządzenie domu, w poprzedniej wyprawie swojej, nawiedzał je dwukrotnie, a ksiądz Johan wielki mir nawet tam miał, bo dwie świętości niewiastom rozdał i mężów żarcikami a dowcipkami skaptować umiał. Dwór pana Łysobockiego do ciemnej puszczy przypierał; większy spokój tam był, niż w majętnościach, leżących na pograniczu krzyżackiem, była więc i czujność mniejsza i straż mniej czujna. Wolffram błogosławił losowi, że Helżbietkę do Łysoboków zawiódł i przeszkód żadnych w dopełnieniu zamiarów swoich nie widział, bo prawdę rzec, nie było żadnych.

W karczemce, w której na nocleg stanęli, pełno było ludu różnego. Z rąk do rąk krążyła gorzałka i zamącała umysły. Zapach okowity mdlił, ogień, płonący na kominie czerwone rzucał światło, a gwar był taki, że aż w uszach dudniło.

Gdy do izby wtoczył się ksiądz Johan, pozdrowiono go, imieniem Pana Boga, gwar przycichł przy wejściu kasztelanica z pazikiem, bo rycerska postać młodzieńca poszanowanie nakazywała, lecz pojawienie się Jarmusza, którego snadź ten i ów znał, pomruk wzbudziło, a już porwali się wszyscy, jak jeden mąż, gdy nad ich głowami powiał krzyżacki płaszcz Wolfframa.

— Niemiec! krzyżak! — dały się tu i tam słyszeć nawoływania groźne.

Wtem podniósł się kmieć jeden i zbliżył się do Wolfframa. Stary był, a oczy mu, jak u złego wilka płonęły. Stanął przed Niemcem i w twarz mu się zapatrzył. Po chwili zachwiał się, ręką w zanadrze sięgnął i wydostając kawał płachty okrwawionej, na której w otoku liści laurowych, świeciły H. K. T. litery — wionął nią przed oczyma pobladłego nagle Wolfframa i spytał:

— Nie wieta do kogo należy ten strzęp?... Mówcie — bo śmierć!...

Wolffram szybkim ruchem ręki chciał wydrzeć płachtę z rąk Janochy, lecz ten ją cofnął szybko, a jednocześnie silnem pięści uderzeniem, trzasnął w skroń krzyżaka.

Wolffram runął, jak kloc drewna; z rozbitego nosa bluzgnęła krew....

Ogromny zamęt powstał, zda się, że to runięcie i bluzg krwi wściekłość jakąś w tłum rzuciły. Jaśko i pazik skoczyli bronić powalonego, do którego, zataczając rękawy swych sukman, kmiecie się wziąść chcieli, podbiegł i Jarmusz, ale ów z chustą krwawą kmieć stary, za barki Jarmusza wziął i rzucił przez zęby:

— Na boku ty stój, sługo Święców, a bacz na stare lata swoje i śmierć blizką.

Jarmusz, odrzucony, do ściany się przyparł i dygotał, jak wiór na wietrze, ze strachu a może z przerażenia. Za złe mu snadź brali, że nie odstąpił pana wojewody gdańskiego do śmierci samej, jakby raj z nim miał, głodu z nim razem nie cierpiał, mąk nie przechodził skonaniu prawie równych. I oto u ściany stoi i drży jako winowajca i zbrodzień.

Nie wyszliby może cało obrońcy Wolfframowi, bo tłum był zaciekły, zgrzytał i pienił się, a krzywda Janochy o pomstę do niebios wołała, gdyby nie ksiądz Johan który krzyż, zawieszony u różańca, przed siebie podniósł i w imieniu Pana Boga do kmieci przemawiać zaczął, a o świętościach prawić, które przy sobie miał. Ten i ów jeszcze rwał się do leżącego na ziemi krzyżaka, ale Janocha pierwszy ukorzył się przed osobą duchowną i zasłaniając już sobą Wolfframa, odezwał się do kmieci:

— Stójta! dyć moja to rzecz, jako z nim się mam sprawić. Nie ten ci to, na którego pomstę zaprzysięgłem, a jeżelim ci go tak nieobyczajnie zajechał, to przez to tylko, że mi tę płachtę wydrzeć chciał, która zabójcę mojego jedynaka świętej sprawiedliwości ma oddać. Wylejcie wiadro wody na niego, bo juszy okrutnie — i wynośta się z karczmiska, gdzie smród niemiecki nas zdławi.

Pacierzabyś nie zmówił, tak szybko izba karczemna opustoszała. Na dworze tylko słychać było stłumiony gwar oddalającego się tłumu, skrzypienie po śniegu stóp gromady, czasami jakiś okrzyk groźby i nienawiści.

Wolffram nie prędko przyszedł do siebie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

